



ziemia

MIESIĘCZNIK KRAJOZNAWCZY



NAPISAŁ JULIUSZ DEMEL

Jak o tym powszechnie wiadomo, nie od razu Kraków zbudowano. A w tym powolnie, przez pokolenia budowanym Krakowie jego mieszkańcy nie od razu rozporządzali zorganizowaną miejską komunikacją. Zresztą przez długie lata nie odczuwano tego braku zbyt dotkliwie, przynajmniej w obrębie murów miejskich, obejmujących przestrzeń — w naszym pojęciu miasta — bardzo jeszcze niewielką.

Zywiolowy rozrost wielkich miast, ludnościowy i przestrzenny, spowodowany przyspieszonym tempem rozwoju przemysłu, wymiany towarowej i komunikacji, przynosi dopiero wiek XIX. Od drugiej jego połowy, po roku 1870, datuje się właściwy wielkomiejski rozwój Krakowa. Statystyki ówczesne sygnalizują szybki wzrost liczby mieszkańców i domów. Powstają nowe ulice i nowe dzielnice, coraz odleglejsze od śródmieścia. Pojawia się związane jak najściślej z tymi zjawiskami nowe za-

mieszkańców. Spotykały one często podróźnych przybywających na dworzec krakowski, na samym wstępie ich pobytu w Krakowie. A były tym dotkliwsze, że zazwyczaj podróżowano z większymi niż dziś bagażami.

Niedostatek środków komunikacyjnych odczuwano niekiedy szczególnie przykro, co prawda więcej w komunikacji podmiejskiej, niż w obrębie samego miasta. Tak bywało np. w okresie Świąt Wielkiejnocy, gdy stara tradycja nakazywała udać się całą rodziną na zwierzyniecki Emaus i podgóorską Rękawkę; na Zielone Świąta, kiedy to powszechnie odwiedzano podkrakowski Bielany; w lipcu, gdy udawano się na doroczne święto górnicze do Wieliczki; jesienią, kiedy znów odpust w Mogile ścigał tłumy krakowian. Bielany, Las Wolski, „odkryty” przez Ambrożego Grabowskiego jako miejsce przechadzek i wypoczynku, czy też bliższe wzgórze Sikornika z kopcem Kościuszki, cieszyły się zresztą dużą popularnością i frekwencją od maja przez cały sezon letni.

Osobny problem stanowiły podkrakowskie źródła mineralne i związane z nimi zakłady lecznicze w Krzeszowicach i Swoszowicach.

W pierwszej połowie w. XIX potrzebom i wygodzie krakowskiej publiczności służyły dwukonne „fiakry”, zwykle wystrojone dawne familijne „kocze”. Dopiero w r. 1857 pojawiły się na ulicach miasta lżejsze, jednokonne dorożki. Zaspokojenie zapotrzebowania w zakresie komunikacji było zrazu wyłącznie domeną przedsiębiorczości prywatnej. Właściciel hotelu Saskiego zdołał się np. (1859 r.) na własny omnibus, mieszczący 10 osób, a dowożący gości z dworca kolejowego — aż na ulicę Stawkowską! W latach 50-tych dwa konkurujące ze sobą przedsiębiorstwa, z Krakowa i Podgórzca, uruchomiły omnibusy do Swoszowic. W sezonie wiosenno-letnim kursowały też prywatne omnibusy do Woli Justowskiej, Białan, czasami i do Ojcowa, położonego już w zaborze rosyjskim. Na dowożeniu krakowskiej publiczności do wspomnianych miejsc świątecznego wypoczynku położonych na zachód od miasta, zarabiali chłopi z pobliskich wsi, oczekujący w pogodne niedziele ze swymi prostymi furmankami przy tzw. „spalonym moście” u końca ulicy Wolskiej. Rozbudowa linii kolei żelaznej w latach 40-tych i 50-tych²⁾ rozwiązała problem bardziej masowej komunikacji Krakowa z niektórymi przynajmniej pobliskimi atrakcyjnymi miejscowościami, jak Krzeszowice (1847), Wieliczka (1857), Niepołomice (1858).

Powróćmy jednak do komunikacji wewnętrznomiejskiej. Fiakry i dorożki najwidoczniej nie zaspokajały wszystkich jej potrzeb. Tak np. uskarżano się często na to, że krakowscy fiakrzy i dorożkarze uchylają się od kursów na dworzec i z dworca kolejowego, wówczas bowiem obowiązywała taryfa ulgowa, bardzo wśród nich niepopularna. W ogólności był to środek komunikacji dość kosztowny, niedostępny na codzień dla szerszej publiczności. Zbiorowy przewóz pasażerów omnibusem wypadł znacznie taniej, mógł więc liczyć na trwałe powodzenie. W r. 1867 spotykamy się z przedsiębiorstwem Schönberga, rozporządzającym 6 wozami omnibusowymi, obsługującymi publiczność krakowską w obrębie ówczesnych rogatek miejskich. W latach 70-tych omnibusy dwóch konkurencyjnych przedsiębiorstw kursują na trasie krakowskiej: dworzec kolejowy — Rynek Główny — Stradom — Kazimierz — most podgórski.

Za przykładem innych większych miast zaproponowano zamienienie tego środka lokomocji na tramwaj, poruszający się po szynach. Przedsięwzięcie takie, po doświadczeniach z omnibusem, musiało zapowiadać się pomyślnie pod względem finansowym, skoro zawczasu ubiegało się o nie szereg przedsiębiorstw prywat-

²⁾ Dzieje rozwoju krakowskiego kolejnictwa omawiał J. Demel w ZIEMI nr 3/57.

KRAKOWSKIE OMNIBUSY

gadnienie: komunikacji wewnętrznomiejskiej.

Jego wystąpienie przyspiesza w pewnej mierze i to, że pojęcie i odczucie przestrzeni w ciasnych granicach ówczesnego miasta było inne niż obecnie. Dla mieszkańców XIX-wiecznego Krakowa tylko śródmieście w obrębie plant nie przedstawiało większych odległości. Natomiast przedmieścia, zwłaszcza ich zewnętrzne obrzeża, chociaż nie przekraczały jeszcze linii późniejszej Alei Trzech Wieszczów i Ronda i nie obejmowały zupełnie prawego brzegu Wisły, to na ówczesne stosunki było już „daleko”, na samych peryferiach miasta. Jeszcze z końcem stulecia nie odważono się na wystawienie gmachu nowego teatru miejskiego na późniejszym placu gen. Sikorskiego, aby nie był on położony na uboczu, zbyt daleko „za miastem”.

Nie dziwny się tym opiniom. Krakowskie bruki i chodniki nie należały nigdy do najlepszych, wieczorami ulice nie były zbyt oświetlone¹⁾. Istniały więc rzeczywiste trudności w komunikacji pomiędzy śródmieściem a przedmieściami, wpływające na wyolbrzymienie poczucia ówczesnych odległości na obszarze miasta. Kłopoty komunikacyjne Krakowa tych czasów dotyczyły zresztą nie tylko stałych jego

¹⁾ Zob. artykuł tegoż autora pt. „Światła krakowskich ulic”, ZIEMIA nr 9/57.



Obraz Ton-dosa z końca XIX w. przedstawiający fragment krakowskiego rynku z tramwajem konnym.

JULIUSZ DEMEL	Krakowskie Omnibusy	2
ANNA KOWALSKA LEWICKA	Dziady na Podhalu	6
AL. JACHER TYSZKOWA	Figurki Jana Lamęckiego	7
JÓZEF E. DUTKIEWICZ	Zagrożenie Zabytków Tarnowa	11
ZOFIA KIELAN	Trylobity	14
PRZEMYSŁAW BURCHARD	Podwodne Łąki	15
DAWNE MŁYNY		21
ORLI LOT		22
HELENA BURCHARD	Średniowieczne Warzelnie Soli	24
TADEUSZ KAŁKOWSKI	SKARB CZYK NUMIZMATYCZNY	25
STANISŁAW KOBIELSKI	Podejrzani Wojacy	26
DAWNE POCZTY		27
KRAJOZNAWSTWO ZA GRANICĄ		28
KRONIKA KRAJOZNAWCZA		31

NASZA OKŁADKA

przedstawia węgiel drewnianej chałupy sfotografowany przez Władysława Strojnego. Zdjęcie pochodzi z Wystawy Fotografii Turystycznej zorganizowanej w Krakowie przez Okręg PTTK. Patrz strona ostatnia.



ziemia Ilustrowany miesięcznik krajoznawczy, organ POLSKIEGO TOWARZYSTWA TURYSTYCZNO KRAJOZNAWCZEGO. Przewodniczący Komitetu Redakcyjnego — MAREK SOBOLEWSKI, redaktor naczelny — PRZEMYSŁAW BURCHARD, sekr. red. — MACIEJ KUZYŃSKI, red. działów — LESZEK DZIEGIEL i MARIAN KORNECKI, układ graficzny — DANIEL MRÓZ. Adres redakcji — Kraków, Basztowa 6, tel. 541-44. Wydawca: POLSKIE TOWARZYSTWO TURYSTYCZNO-KRAJOZNAWCZE. Replizacja: PANSTWOWE WYDAWNICTWO NAUKOWE, Oddział w Krakowie, Smoleńsk 14, tel. 506-78. Nakład 11.001 egz. Zam. nr 551/58. S-51. DRUKARNIA NARODOWA W KRAKOWIE.

Liczby na mapie oznaczają numery stron, na których piszemy o danej okolicy.



PRENUMERATA W KRAJU

Prenumeratę przyjmują placówki pocztowe, listonosze, centrala „Ruchu” w Warszawie, Srebrna 12 (konto PKO dla wpłat 1-6-100024) oraz Oddziały „Ruchu” w W-wie, w miastach wojewódzkich i powiatowych.

Cena prenumeraty: kwartalnie 15 zł, półrocznie 30 zł, rocznie 60 zł.

PRENUMERATA ZE ZLECENIEM WYSYŁKI ZA GRANICĄ

Czytelnicy posiadający krewnych i znajomych za granicą mogą zaprenumerować nasze pismo ze zleceniem wysyłki za granicę w PKWZ „Ruch”, W-wa, ul. Wilcza 46, nr konta PKO 1-6-100024. Cena tej prenumera-

ty — kwartalnie 21 zł, półrocznie 42 zł, rocznie 84 zł.

POPZEDNIE NUMERY ZIEMI

można nabywać w redakcji „Ziemi”, Kraków ul. Basztowa 6, a także w sklepach prasy antykwarycznej „Ruchu” w Warszawie, przy ul. Wilejskiej 14 i Puławskiej 100, oraz zamawiać listownie pod tymi adresami lub w centrali „Ruchu” w W-wie, Srebrna 12, Dział Sprzedaży Prasy Antykwarycznej.

ROCZNIKI ZIEMI

za rok 1957 można nabywać w redakcji, Kraków, Basztowa 6, lub zamawiać listownie pod tym adresem. Wysyłka w kolejności zgłoszeń za pobraniem pocztowym. Cena rocznika ozdobnie oprawnego 100 zł + porto, nieoprawnego — 60 zł + porto

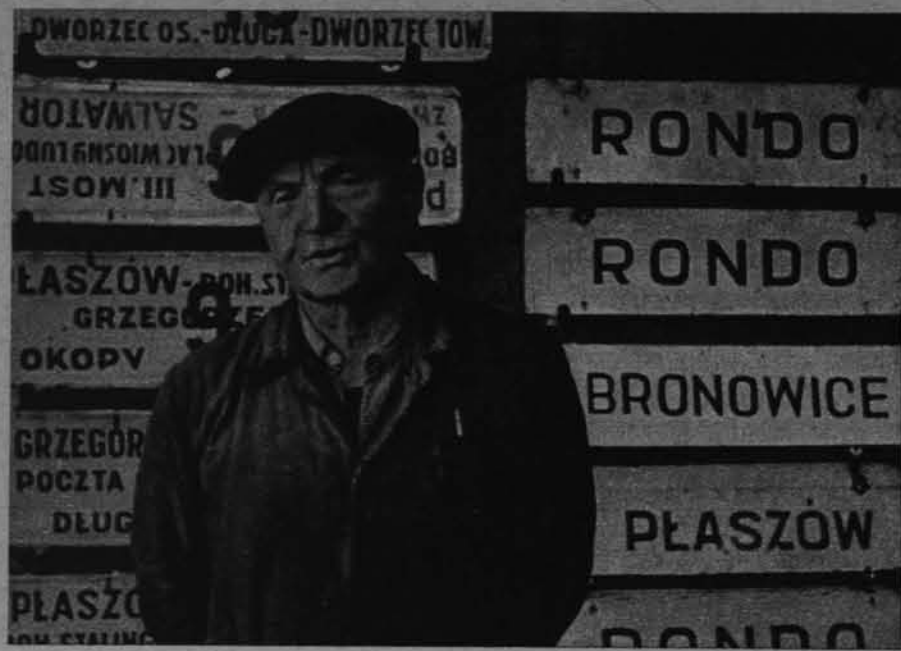
ZA GRANICĄ

zamawiać można ZIEMIĘ na 15 dni przed datą prenumeraty wpłacając odpowiednią sumę na konto 2-38-51 Narodowy Bank Polski, Warszawa, Traugutta 7, dla CHZ „Ars Polona”, zaznaczając wyraźnie: „wpłata na prenumeratę ZIEMI” i podając dokładny adres, na który pismo ma być wysyłane.

Cena ZIEMI: w St. Zjednoczonych AP — doł. 0,35, rocznie 4,20; w Wielkiej Brytanii £ 0,2,3, rocznie 1.8,9; we Francji — Fr. 105, rocznie 1380, w Niem. Republice Federalnej — DM 1,30, rocznie 19,20; w Australii — £ A 0,2,7, rocznie 1.10,7. Cena egzemplarzy archiwalnych jest wyższa o 10%.

Zamówienia na ZIEMIĘ można także składać m. in. w następujących księgarniach: ZSRR — w „miastkach i gorodskich Otdielnych Sojuzpoczty”; NRD — Zeitungsver-

triebsamt II C, Berlin NW, Clara Zetkinstr. 62; Czechosłowacja — J) Melantrich, Abt. I, Ausl. Presse, Praha XVI, V. Hugo 4, 2) PZKO Knihkupecvi Karvina II/Doly tr. Cslow. Armady, 3) PZKO C. Tešin Gotvaldova 15; Anglia — Cracovia Book Company, 58 Pembroke Rd. London W 8; Australia — 1) Current Book Distributors, 40, Market Street Sydney, New South Wales, 2) Gordon & Gotch (A) Asia Ltd. Melbourne; Israel — 1) „Sifriat Poalim” Workers Book-Guild (Hasomer Hatzair) Ltd. Tel-Aviv, 73 Allenby St. P.O.B. 526, 2) „Haiflepac”, Haifa, Arlosorov St. 11 Nordan St. 15 P.O.B. 1794, 3) „Lepac”, Tel-Aviv, P.O.B. 1136; Kanada — Syrens Book and Travel Agency 2 P. 94 A Dundas Street, W. Toronto 3, Ontario; Francja — 1) Le Livre Polonais en France, Paris VIII-ème, 29 bis, rue Jean Goujon, 2) Agence Littéraire et Artistique Parisienne, 7, rue Debelleyne, Paris III-e; USA — Dolphin Service, 441 Bellevue Drive, Falls Church 1, Virginia.



CIĄG DALSZY ZE STRONY 2

nych: angielskie towarzystwo „The British and Foreign Tramways Company” (1871), towarzystwo włosko-austriackie, finansujące tramwaje w kilku większych miastach monarchii austro-węgierskiej, jak Triest, Linz, Lwów; przedsiębiorca z Poznania, Reichstein. Koncesję Rady Miejskiej otrzymała ostatecznie (1881) belgijska spółka „Compagnie Generale des Chemins de Fer Secondaire”, która uruchomiła w r. 1882 pierwszy tramwaj w Krakowie, na razie jeszcze konny. Spółka ta już w kilka lat później ustąpiła miejsca innej, pod nazwą „Tramways Autrichiens Cracovie”, pozostającej jednak również w rękach kapitalistów belgijskich. Przez niemal 20 lat po wąskim torze (900 mm), zaopatrzonym w mijanki, małe, pojedyncze wozy, zaprzężone w konie, z podziałem na dwie klasy (dla publiczności „lepszej” i „gorszej”), kursowały co kilkanaście minut, przewożąc krakowian na wspomnianym głównym szlaku komunikacji wewnętrznomiejskiej: dworzec kolejowy—most podgórski. Przejazd kosztował kilka centów, dzieci płaciły mniej, tylko że o niższe zdecydował młodszy wiek, a więcej — wzrost młodocianego pasażera, sprawdzany przez konduktora przy pomocy długiej linii. Już w czasie zaprowadzenia tego pierwszego tramwaju krakowskiego domagano się objęcia jego siecią także i przedmieść, czego jednak wówczas nie urzeczywistniono.

Cudzoziemskie towarzystwo akcyjne dopiero na przełomie w. XIX i XX (1898—1900) zastąpiła polska „Krakowska Spółka Tramwajowa”, będąca od r. 1910 w 95% własnością gminy krakowskiej. Zaprowadziła ona w r. 1901 pierwszy tramwaj elektryczny, obsługiwany przez własną elektrownię, zrazu w dalszym ciągu tylko wąskotorowy, bardzo powolny, wyposażony w zbyt słabe silniki, uniemożliwiające stosowanie przyczep. Linię normalnotorową (1435 mm) wybudowano na krótko przed I wojną światową, w r. 1913. Sieć tramwajową rozszerzano stopniowo na przedmieścia, rozwój jej nie nadążał jednak za rozrostem urbanistycznym miasta, które w ciągu w. XX trzykrotnie rozszerzało bardzo znacznie swe granice. Poza Wisłę przeprowadzono tramwaj krakowski po raz pierwszy



w r. 1917, do przyłączonego niedawno Podgórze. Punktem węzłowym krakowskiej sieci tramwajowej stał się od początku Rynek Główny, który pozostał nadal żywotnym centrum miasta. W projektach rozwoju przestrzennego Krakowa, jeszcze sprzed I wojny światowej (np. konkurs na projekt zabudowy „Wielkiego Krakowa” z 1909/10) postulowano budowę dłuższych podmiejskich linii tramwajowych: na Wolę Justowską; Prądnik Czerwony i dalej do Michałowic, do Wieliczki, Liszek i Balic. Już wtedy wysunięto pomysły uzupełnienia sieci tramwajowej przez „omnibusy automobilowe”.

Po I wojnie światowej rozbudowywano dalej, choć w słabszym tempie i niewystarczającym zakresie, sieć tramwajową na przedmieściach. W komunikacji podmiejskiej uzupełniano ją od r. 1927 autobusami. Według ówczesnych projektów rozbudowy tramwaj miał m. i. przebiegać wzdłuż Alei Trzech Wieszczów.

Dalszą rozbudowę sieci tramwajów, jako najtańszego i najefektywniejszego w lokalnych warunkach środka masowej komunikacji miejskiej, podjęto po II wojnie światowej. Połączono ze śródmieściem szereg odległych i dotąd zaniedbanych dzielnic, jak Borek Fałęcki, Bronowice, Grzegórzki, oraz nowopowstałą dzielnicę Krakowa — Nową Hutę. W związku z tym ostatnim przedsięwzięciem utworzone w miejscu wyburzonego XIX-wiecznego fortu austriackiego Rondo stało się wybitnym węzłem komunikacji tramwajowej Krakowa. Zniesiono zupełnie tradycyjne i znane w całej Polsce (wszakże to warszawski Wiech pisał o krakowskim „dziecinym tramwaju”) linie wąskotorowe. Zaplanowano rozbudowę sieci tramwajowej w Nowej Hucie, połączeń Nowa Huta—Kraków, przedłużenie linii ze śródmieściem w stronę dalszych przedmieść.

Krakowski tramwaj w ciągu swej już kilkudziesięcioletniej służby oddał ogromne usługi wielotysięcznym rzeszom mieszkańców Krakowa, ułatwiając im codzienne dotarcie do miejsca pracy, korzystanie z handlowego i administracyjnego centrum miasta, z rozrywek, imprez kulturalnych i sportowych, z bliższych wycieczek podmiejskich. Konkurencja autobusów nigdy nie zdołała mu poważnie zagrozić.

Jednak w specyficznych warunkach starego miasta nie pod każdym względem okazał się on równie dogodny i pożyteczny. Wzmógłony ruch

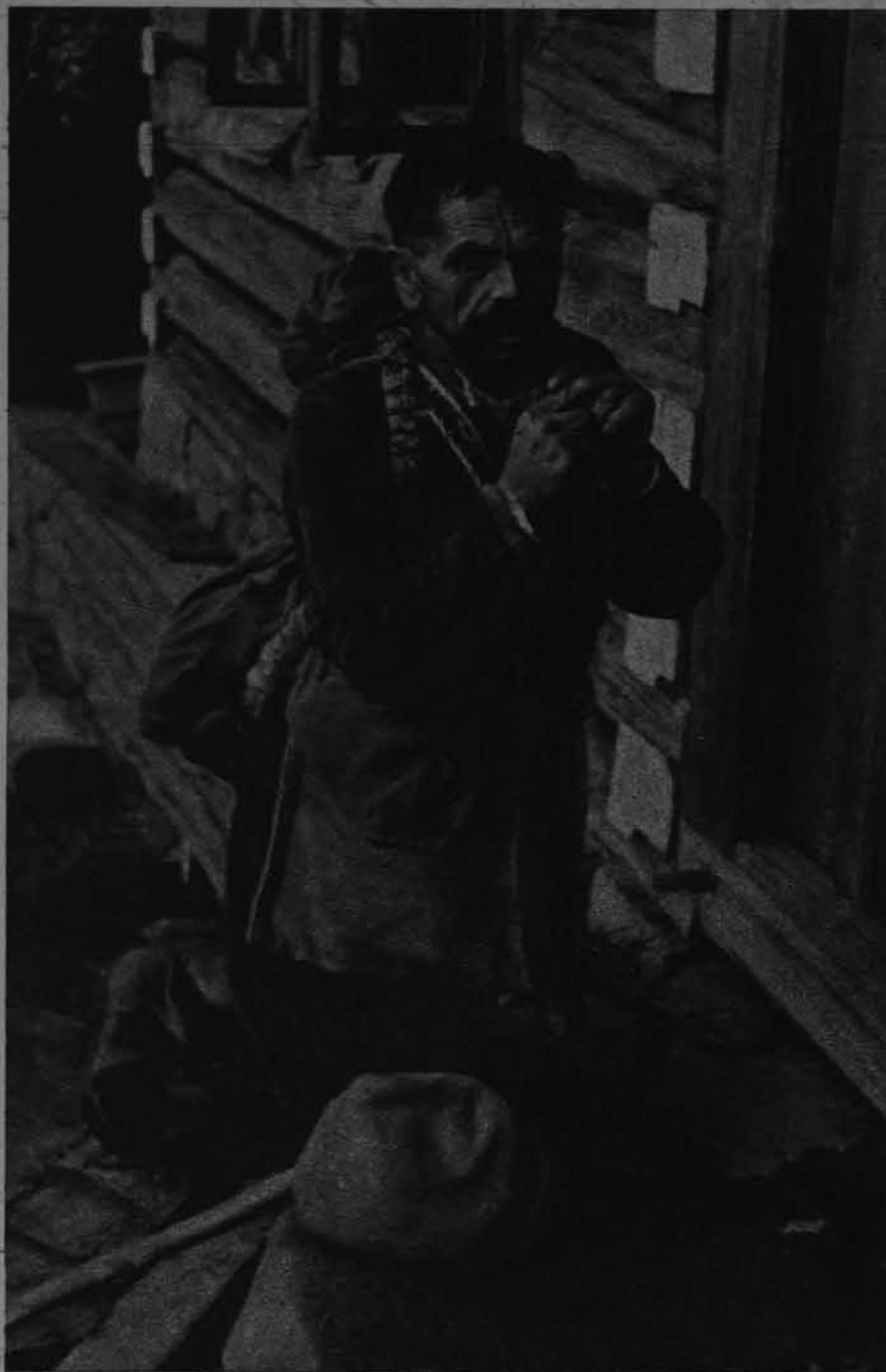
wozów tramwajowych, zwłaszcza w ciasnych ulicach śródmieścia (Floriańska, Sławkowska, Starowiślna, Grodzka, Sienna, Dominikańska) wywoływał od początku liczne zastrzeżenia. Protesty, mnożące się już przed I wojną światową, wypływały po części ze względów bezpieczeństwa publicznego, w większości wypadków miały jednak za punkt wyjścia troskę o stan zabytkowych budowli Krakowa, odgrywających w układzie śródmieścia pierwszorzędną rolę. Zna ją jest powszechnie wspominana przez Boya („Znaszli ten kraj”) sprawa przeprowadzenia tramwaju elektrycznego poprzez łuk bramy Floriańskiej, kiedy to proponowano „odpowiednią adaptację” tego zabytkowego obiektu, względnie wyburzenie części przyległego dawnego muru obronnego miasta. Skoncentrowanie ruchu tramwajowego na zabytkowym Rynku Głównym, usunięcie ze względu na przebieg linii tramwajowej malowniczego targu na Małym Rynku, „odrutowanie” krakowskich ulic i placów, na koniec niewątpliwie uszkodzenia zabytkowych budowli (kościół Mariacki, kościół dominikanów, Barbakanu) skutkiem bezustannych wstrząsów — ogólnie mówiąc zakłócenie zabytkowego charakteru śródmieścia, wszystko to powodowało coraz liczniejsze wystąpienia przeciw mało uzasadnionemu „fanatyzmowi komunikacyjnemu” zarządu miasta. Zmierzały one ku usunięciu tramwaju z centrum Krakowa przynajmniej na obręb Plant. Za takim rozwiązaniem wypowiediano się zarówno przed I wojną światową jak i później, w okresie międzywojennym, np. w ankiecie przeprowadzonej w r. 1928 w sprawie Rynku Głównego. Poglądy te znalazły pełny wyraz w projektach konkursu na uporządkowanie Rynku Głównego i przyległych placów z r. 1937. Próby pogodzenia postulatów konserwatorskich z wymaganiami codziennego życia nowoczesnego, dużego miasta, prowadziły ku takim pomysłom, jak np. projekty przeprowadzenia arterii komunikacyjnych pod Rynkiem Głównym, tunelem z wylotami w ulicach Szewskiej i Siennej (1937), oraz pod Wawelem (1939). Tramwaj zniknął jednak z Rynku dopiero po II wojnie światowej, w r. 1952, pozostając w śródmieściu już tylko na trasie ul. Franciszkańska—Dominikańska. Tego problemu, istotnie ważnego, lecz jednocześnie i bardzo trudnego, nie zdołano dotąd jeszcze rozwiązać.



JULIUSZ DEMEL

ZDJĘCIA WOJCIECHA PLEWIŃSKIEGO





DZIADY NA PODHALU

Anna Kowalska Lewicka

NA ZAKRĘCIE wiejskiej drogi natykam się na Marysię. „Niek będzie pokfolony!” „Niech będzie, jak ci tam Maryś?” „E — dyj ta” „Zdrowaś?” „Ba jako.” „Gdzie idziesz?” „Bez wieś.” Na tym rozmowa się urywa, Marysia skrętnie chowa otrzymane grosze i wśród głośnych modłów, błogostawieństw i obfitego „zdrówkowania” rusza dalej.

Każdy we wsi zna Marysię Pinirkę, jej rumiane policzki, kaprawe oczka, mięsiste wargi i nigdy nieczesane siwiejące strączki włosów okryte brudną chustką spod której sterczy cieniutki, rozczochrany, mysi ogonek warkocza z wplecioną weń szmatką urwaną gdzieś z brzegu spódnicy. Mała, krępa o kaczym chodzie wygląda jak kula różnobarwnych brudnych szmat.

Marysię lubią we wsi. Przyjdzie do izby, przycupnie przy piecu, pomodli się za dusze czyścicowe, a później chlipiąc jadło z podsuniętej przez gazdżinę miski opowiada co widziała w swych dziennych i nocnych wędrówkach po wsi. Dzięki niej każdy może zaspokoić ciekawość wiejskich skandali, a przy tym czuje błogą świadomość spełnienia miłosiernego czynu za odrobinę niemaszczonych ziemniaków i kapkę zbieranego mleka.

Latem nocuje Marysia na sianie, zimą na wiązce słomy ciśniętej w róg ciepłej stajni — jest zbyt zawszona żeby ścieścić jej w izbie. I tak wę-

druje od lat; nikt już dziś nie pamięta wsi bez Marysi.

Historia jej zupełnie prosta. Jest córką gazdowską, a że od dziecka była „sietniawą”, więc po śmierci rodziców, którzy chcieli zabezpieczyć jej byt zapisem sporego kawałka ziemi, siostra namówiła ją by położyła trzy krzyżyki na jakimś papierze. W ten sposób Marysia „odpisała się” z ojcowizny na rzecz siostry. Nikt nie zakwestionował prawomocności aktu darowizny, znaleźli się świadkowie, którzy stwierdzili, że był podpisany dobrowolnie — po czym Marysię wypędzono z chałupy, gdzie nie miała już niczego własnego. Ruszyła więc z workiem „po pytanu” (po prośbie).

Dlaczego mówię o Marysi Pinirce? Czy jest czymś wyjątkowym we wsi? — bynajmniej. Jej życiorys jest jednym z najtypowszych życiorysów dziadowskich, zwłaszcza dla czasów nieco dawniejszych, dla XIX i początków XX w. Bywali więc na wsi dziady „sietniaki — takie przygu-

pie to było, nie zdołało robić, to to posłali po pytaniu”, były dziadokaleki również do pracy niezdolne i dziady — starcy, którzy cały majątek zapisali dzieciom zastrzegłszy sobie wikt i opiekunstwo do śmierci. Szybko jednak zaczęli wadzić w chałupie, która nie była ich chałupą i zabrakło dla nich jada zebranego z pól, które już nie były ich polami. Zaczęło się bicie, głodzenie, wymysły, woleli więc iść na żebry. Byli wreszcie dziady-komornicy i chałupnicy, którzy dopóki mieli siły „wyrabiali” u bogatych gospodarzy, lecz gdy przyszła starość, choroba, utrzymać mogli się już tylko z jałmużny. Byli i tacy, którzy zasmakowali w wędrownym życiu i woleli lekki choć niepewny uproszony chleb, niż zdobyty ciężką pracą. Ale tych było bardzo niewiele, natomiast stosunkowo często o nich opowiadano — bo historia nędznego napozór dziada, który w skrzyni dusił ciężkie pieniądze, działała łagodząco na sumienie tych, którzy zawsze byli syci a nie zawsze szczydry dla biedaków.

W Ochotnicy opowiadają o starym dziadku, który choć uzbierał już spory garnek grosza, wciąż jeszcze chodził po prośbie. Ludzie litowali się nad nim i nieraz sami biedni obdarowywali go obficie. Wreszcie po latach zmarł nie mówiąc nikomu słowa o ukrytych pieniądzach. Pochowali go po chrześcijańsku lecz nocami wciąż z grobu wstawał, „cosi” jęczało między cmentarnymi drzewami, kopytało nagrobki — grabarz nie mógł sobie z tym dać rady. Wszyscy we wsi żyli w napięciu i lęku — wreszcie poszli do księdza po radę — a tymczasem znaleźli „na kumorz”, tam gdzie dziad za życia mieszkał wmurowany w piec garnek z jego pieniędzmi. Ksiądz — wiadomo, człowiek uczony i zna się na sprawach nieziemskich — poradził wziąć te dziadowskie pieniądze, pojechać z nimi na jarmark i za całą sumę kupić świnię (nie wolno było za nią płacić ani grosza mniej, ani więcej). Zrobili jak radził, a wtedy ksiądz kazał wpuścić świnię na cmentarz. Ludzi zbiegła się gromada żeby oglądać co dalej będzie, trwożnie pozielali z za murku cmentarnego — a był wtedy jeszcze dzień i wszystko widać było dokładnie. Świnia z początku niezdecydowanie porzyła trochę tu, trochę gdzie indziej — potem nagle stanęła i jakby ją coś zawołało ruszyła biegiem na grób dziada. Ziemia się rozwarła, wyszedł dziad, objął świnię za szyję i zawołał: „pódz mój uzbierany grosz”. I zapadł się razem z tą świnią pod ziemię. (Mój informator widział to na własne oczy. Był wtedy jeszcze dzieckiem i matka zabrała go z sobą na cmentarz). Od tego czasu już nic nie straszło — zapanował spokój — wieś odetchnęła.

Za wyjątkiem tych najbiedniejszych z biednych, bezdomnych dziadów-sietniaków, przeciętny dziad miał swoje stałe miejsce zamieszkania „na kumorz”, najczęściej w kącie izby jakiegoś biednego chałupnika. Stamtąd wyruszał na długi, nieraz parę dni trwający obchód okolicznych wsi, po czym wracał z zapasami żywności i póki było co do garnka włożyć odpoczywał, po czym znów ruszał w świat. Niektórzy zbrali tylko we własnej wsi, inni we wsiach okolicznych, ale wszyscy spotykali się na odpustach, w parafii na Zaduszki i przy bogatych pogrzebach.

Myliłby się kto by sądził, że dziad był jednostką niepotrzebną w wiejskiej społeczności. Miał on ściśle określone obowiązki, a jałmużna była właściwie tylko zapłatą za funkcje jakie pełnił.

Zarówno mężczyźni jak kobiety wiejskie, wciągnięci w kierał codziennych zajęć gospodarskich, nie tylko nie mieli czasu, ale i ochoty dbać o sprawy ducha. Do tego służył właśnie dziad. Jego obowiązkiem była przede wszystkim modlitwa za zmarłych, lecz także za pomyślność żyjących, inwentarza i całej gazdówki. Obdarowanie dziada było czynem chrześcijańskim, miłosiernym,

który zapisany w niebie powiększał konto dobroczyńcy i zbierał się w formie kapitału zasług, z którego potem, za życia jeszcze lub na tamtym świecie, można było czerpać.

Zachowanie się dziada określał obyczaj. Gdy wszedł do chałupy, pozdrowił po chrześcijańsku obecnych, klękał w kącie izby i zaczynał na głos odmawiać pacierze „za dusycki”. Im piękniej się modlił, tym ochniej go obdarowywano. Po Ochotnicy chodził jeden taki dziad z Poreby, który znał wszystkich we wsi i po imieniu umiał wymienić wszystkich zmarłych w każdej rodzinie. Modlił się więc za nich za każdego dziadka, pradziadka, ujka, stryjka i ciotkę, wstawiając między modlitwy oracje własnego pomysłu. Modlił się za cały dobytek „coby sie krowicki, konicki, owiecki darzyły i coby grod nie zbil owsa i coby Pan Bóg strzegł chałupy od pierona”. Ten już nigdy nie wyszedł od gazdy z próżnym workiem, bo „opłaciło się dać za takie piękne modlenie”. Ale jeśli dziad nie umiał się ładnie modlić na intencję gospodarzy, jeśli tylko prosił o wsparcie — „to mu nic nie dawali bo nie było za co, a jak się pomodli to sie mu dało bo zasłużył”.

Dziad zazwyczaj chodził obwiezany różnymi workami i torbami — do każdego zbierał coś innego: ziemniaki, zboże, groch, mąkę, czasem jajko lub nawet kawałek spirki. Zanosił to później wszystko tam gdzie „siedział na kumorz”, gotował i jadł i tymi wiktualiami opłacał komorne. Gazdowie więc dawali mu „co zbirol, abo mu dali zimioków do przygarzka (do dwu złożonych dłoni), abo monki do garzci, abo jak mówił ze mu cinsko nosiś to krajcarza — ale za krajcarza dość paciorków namówił. Jak kcioł to mu jeść abo mlika napić, abo co inkse dali”.

Dziady gromadzili się na wiejskich odpustach, gdzie skruszeni pątnicy chętnie rozdawali jałmużnę; można ich było spotkać na cmentarzu, jeśli tylko rozniosła się wieść o zamożniejszym pogrzebie, bo modły za duszę zmarłego rzadko wtedy pozostawały bez nagrody. Ale największym świętem dziadowskim były Zaduszki. W XIX w. kościołów było jeszcze na Podhalu niewiele, w nielicznych więc parafiach, w „babińcu”, zbierało się w tym dniu po kilkudziesięciu dziadów. Gazdżiny na tę okazję piekły „chlebicki z jarcany monki”, a na Skalnym Podhalu „owsiane moskole”, zanosili je do kościoła i rozdawały między dziadów zapowiadając każdemu za jakie dusze ma się modlić. W Ochotnicy we Wszystkich Świętych rozdawali biednym przed kościołem po kawałeczku mięsa — „coby się bydło darzyło”, po lnu garstce — „coby dobrze rósł” i nieduże „bochnicki” i kołacz — po połowce, albo i po ćwiartce — te ostatnie już na intencję dusz czyścicowych. „Nazbierali choćkie dziady takie brzemiona co ledwie nieśli”. Dochodziło wtedy nieraz do bójk między nimi, wrywania sobie dobroczynnych klientów i innych nieprzystojnych incydentów. A że działo się to w przedśionku kościelnym, władze wiejskie, żeby zapobiec zgorzeniu rozkazały, by każdego roku dziady wybierały spośród siebie wójta, który miał utrzymywać między nimi ład, tępić niezdrową konkurencję, a zwłaszcza dbać o sprawiedliwy podział jałmużny w dniu Wszystkich Świętych (wójtowie byli wybierani do r. 1914). Niestety nie dochowała się tradycja jak dokonywano tego arcyciekawego wyboru.

Okazją do obdarowywania biednych było też, choć w mniejszym stopniu, Boże Narodzenie i Wielkanoc. W Koniówce przed Bożym Narodzeniem, już nie tylko dziady, ale i biedota wiejska chodziła po chałupach. Dawano im „kołace i bukty” — i tak nazbierali dla całej rodziny lepsze go jadła na święta.

Do dziś żyje na Podhalu tradycja

DOKONCZENIE NA STR. 94tej

FIGURKI JANA LAMECKIEGO

Topolowy pieńek, nieco spróchniały i wydrążony w środku, tworzy przysadzisty, ciężki korpus. Równie niezgrabne są wyrastające z ramion wielkie skrzydła. Biegające od nich ręce kończą się sterczącymi do przodu dłońmi. U szczytu pieńka tkwi spłaszczona walcowata głowa, osadzona wprost na tułowiu. Czarne włosy okalają gładko twarz, z której wystaje duży, prosty, zgoła nie anielski nos. Postać odziana jest w długą, błękitną suknię i różowy płaszcz.

Tę nieco karykaturalną postać szopkowego anioła wykonał około 30 lat temu ludowy rzeźbiarz spod Radomska. Przeszło ćwierć wieku spoczywała wraz z innymi jego rzeźbami w wiejskiej izbie, wydobywana co roku tylko na krótki okres przez miejscowych kołodźników. Odkryłam go dopiero w jesieni 1956 r. w czasie zespołowych badań Kielecczyny. Wszedłszy do chałupy jednego z mieszkańców wsi Dąbrowa Zielona, zobaczyłem widok dość nieoczekiwany. Oto z półmroku niskiej izby wyłaniał się szereg drewnianych świątków o subtelnej polichromii. Potężna kompozycja Chrystusa na krzyżu, płaskorzeźba Matki Boskiej Częstochowskiej, szopka i szereg innych rzeźb, z których każda była dalszym przykładem indywidualnej twórczości ludowego artysty.

Twórcą rzeźb jest Jan Lamęcki ur. w 1895 r., małorolny chłop z Dąbrowy Zielonej, dawny oficjalista dworski i rzeźbiarz-samouk, niezmiernie ciekawa postać w kręgu samorodnych talentów ludowych. Posiada on nie tylko dar plastycznego przedstawienia swoich wizji, lecz także ma niewątpliwie talent epicki, jest bystrym i wrażliwym obserwatorem, autorem pasjonujących pamiętników, kontynuatorem wielu zarzuconych już obrzędów ludowych.

Lamęcki zaczął rzeźbić już wtedy, gdy jako dziecko pasął na okolicznych łąkach krowy i owce. Przy pomocy zwykłego kozika mały Janek dłużał drewniane „lamigłówki” — jak nazywa swoje pierwsze twory. Te Jankowe lamigłówki były nie-

raz przyczyną boleśnie odczuty na własnej skórze razów, gdy bydło poszło w szkodę. Laska zakończoną rączką w kształcie lisa, piękna kropielniczka ozdobiona rzeźbionymi kwiatami, wieża kościoła częstochowskiego, laska z korzeni, gdzie misternie ukryte było bocianie gniazdo; postacie dwu chłopów i wąż — to pierwsze prace Lamęckiego, ofiarowane potem chojną ręką krewnym i znajomym jako pamiątki.

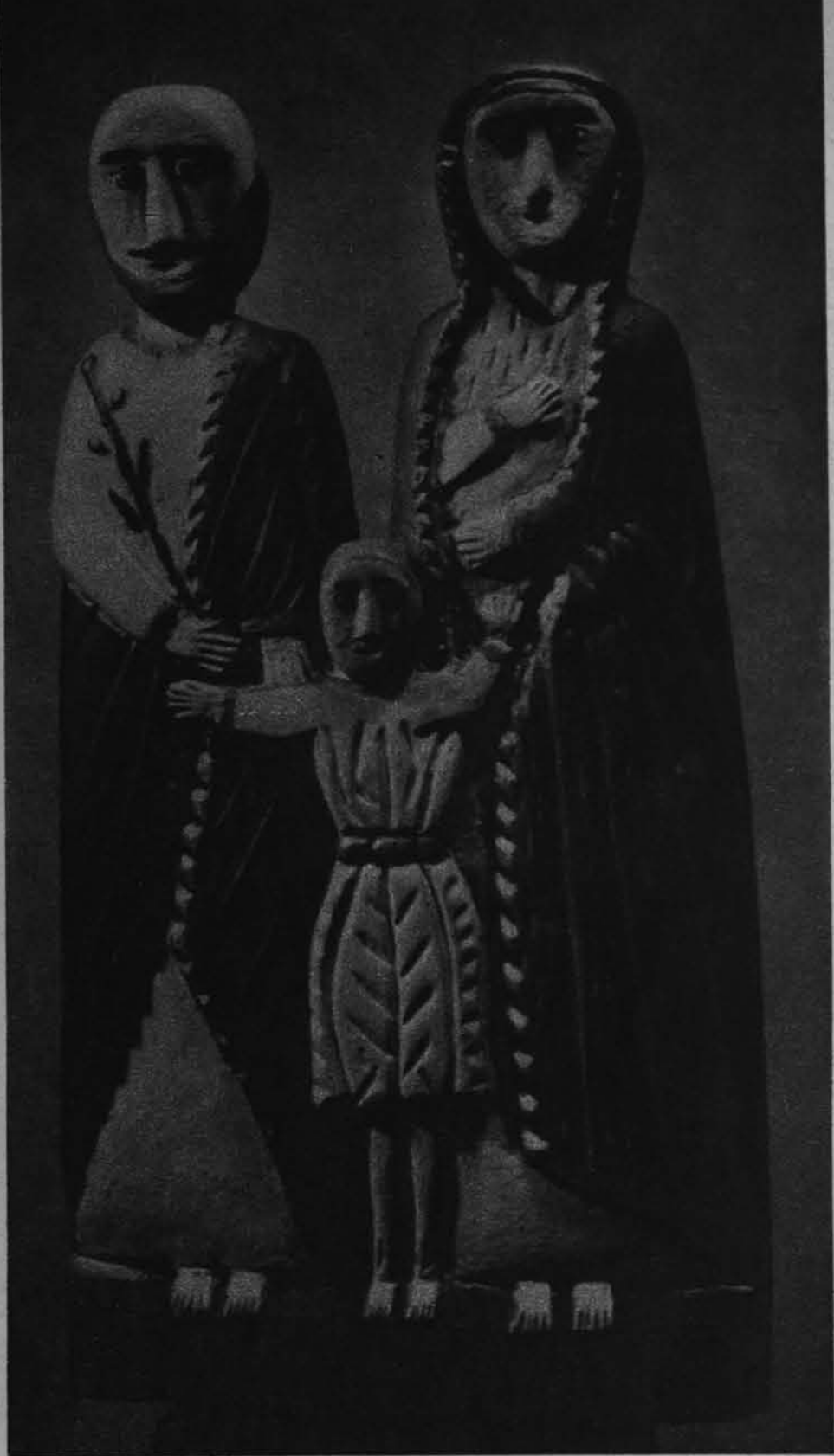
Późniejszy rozwój twórczości Lamęckiego poszedł w kierunku rzeźby religijnej. Lamęcki należy do owej niegdyś licznej grupy świątkarzy ludowych, uprawiających swą sztukę nie dla pieniężnych korzyści, ale z wewnętrznej potrzeby, nieprzepartej pasji i woli tworzenia. Twórczość ta często zapoznana i niedoceniana przez najbliższe otoczenie, podobna jest do produkcji nieznanymi snycerzy średniowiecza, którzy anonimowo dzieła swoje ofiarowywali „ad maiorem Dei gloriam”.

Zamiłowanie do rzeczy niezwykłych, dziwnych i trudnych skierowuje zainteresowania Lamęckiego ku — dość chętnie uprawianej przez niektórych snycerzy ludowych — rzeźbie we flaszcze. Lamęcki wykonał dwie takie rzeźby: mały krucyfiks z symbolami Męki Pańskiej oraz postać św. Antoniego, sklejaną z 6 części. Rzeźby we flaszcze, świadczące nie tyle o talencie, ile zręczności twórcy, cieszyły się wielkim uznaniem w środowisku wiejskim.

Najpełniej wypowiada się jednak Lamęcki w większych rzeźbach figuralnych o charakterze religijnym, o swoistej stylizacji i ciekawej kompozycji,

które stanowią najliczniejszą i niewątpliwie najbardziej wartościową grupę jego dzieł. Do tej klasy zaliczyć można dużą kompozycję Chrystusa Ukrzyżowanego w otoczeniu aniołków, wykonaną w roku 1924. Rzeźba ta uderza nas przede wszystkim oryginalnością kompozycji, niespotykaną w dostępnych Lamęckiemu wzorach ikonograficznych. Postać Chrystusa pozbawiona jest charakterystycznego dla baroku zwisu ciała i ekspresyjnego wyrazu twarzy. Chrystus Lamęckiego przeszedł już zmaganie ze śmiercią — twarz ma spokojną, jakby uspioną, głowę bardzo słabo przechyloną na lewą stronę. Anatomiczne szczegóły klatki piersiowej, traktowane przez rzeźbiarzy ludowych zazwyczaj w stylizowany i dekoracyjny sposób, rozwiązał Lamęcki zupełnie inaczej. Stylizacja jest tu całkowicie odmienna i ma piętno geometryzacji, podobnie jak inne jego rzeźby. Perisonium wykonane z blachy, stylizowane jakby w dwa końce wyciętej w zęby kokardy, nadaje rzeźbie piętno jakiegoś ludowego rokoka. Polichromia rzeźby stonowana, utrzymana w szlachetnym tonie złamanych barw.

„Opus magnum” Lamęckiego stanowi ruchoma szopka, wykonana w latach 1925—1930. Odbiega ona swoim charakterem od dotychczas znanych form tradycyjnych. Składa się z części stałej o kształtach drewnianej chatki i ruchomej tarczy, zaopatrzonej w obrotowy mechanizm. Drewniana szopa mieści łożek z Dzieciątkiem, figurę M. Boskiej i św. Józefa, aniołka o ruchomej głowie, połączonego ze skarbonką, cztery owieczki, wołu i osła. Do ruchomej tarczy przymocowane są figurki



Trzech Króli, pasterz i cztery owieczki. W szopce znajdowało się łącznie 18 figurek rzeźbionych w drzewie topolowym i polichromowanych.

Szopkę wykonał Lamęcki na potrzeby miejscowych kołędników. Zaopatrzona była w drążki do noszenia i cztery nóżki, na których stała w czasie pokazów. Sam Lamęcki nie jeden raz wędrował z nią w orszaku kołędników, przebrany „za dziada”, dając przedstawienia we wsiach powiatu radomszczańskiego, włoszczowskiego częstochowskiego. Czasami znów w okresie Bożego Narodzenia widowiska odbywały się



w domu rzeźbiarza, ściągając licznych widzów zarówno z samej Dąbrowy jak i sąsiednich wiosek.

Szopkowe figurki świadczą o dużej wyobraźni plastycznej ich autora i są dalszym konsekwentnym przykładem rozwoju ciekawego stylu Lamęckiego. W figurce Dzieciątka, podobnie jak i w innych jego rzeźbach zaznacza się tendencja do geometryzacji kształtów ludzkich, czego wyrazem jest np. przedziwnie ścięty wierzchołek główki Dzieciątka, widoczny zresztą także i u aniołka. Deformacja tego rodzaju miała zapewne wyrażać cechy infantylne rzeźbionych postaci. Szczegóły twarzy nie są drobiazgowo opracowane. Oczy i usta malowane według jednakowego szablonu. Nieporadnie wyrzeźbione nóżki. Dzieciątka pokrywa płatek materiału.

Figurki Matki Boskiej i św. Józefa stanowią dopełniający się zespół wykonany według jednakowego schematu. Postacie tworzą bryły statyczne, sztywne, hieratycznie skomponowane na małych

prostokątnych podstawkach. Powtórzenie pewnych cech tych figurek będzie widoczne w wykonanej po wojnie rzeźbie przedstawiającej św. Rodzinę.

Najkapitałniejszymi postaciami szopki są figurki Trzech Króli. Są to wędrowcy przybyli z dalekich stron. Ujęcie postaci podkreśla te cechy specyficzną dynamiką, zaznaczoną w oszczędnych lecz wymownych skrótach. W małych rączkach trzymają Trzej Królowie symboliczne dary: złoto, kadzidło i mirrę.

Równie naiwna i bezpretensjonalna jest postać pasterza z batem w ręku, odziana w kapelusz z piórami.

Kapelusz i spencerek malowane na brązowo, spodnie zielone, czarne buty z cholewkami. Widać już tu dążenie do modelowania profilu.

Figurki zwierzęce w szopce Lamęckiego, potraktowane realistycznie, o swoistej stylizacji uogólniającej indywidualne cechy, świadczą o zdolności do trafnej obserwacji i bliskim kontakcie rzeźbiarza z przyrodą.

Poszczególne zespoły szopkowych figurek wykonał Lamęcki w różnych latach, toteż nic dziwnego że różnią się znacznie między sobą. Uzupełnieniem figur szopkowych był duży anioł o ruchomej głowie, kiwającej się przez 20 minut. Ruchoma tarcza, na której znajdowała się część figurek i kiwający głową anioł stanowiły największą atrakcję szopki, wprawiającą widzów w pełen zdumienia zachwyt. Całość zakupiona w roku 1956 dla Muzeum Etnograficznego w Krakowie, eksponowana jest obecnie na wystawie szopek krakowskich.

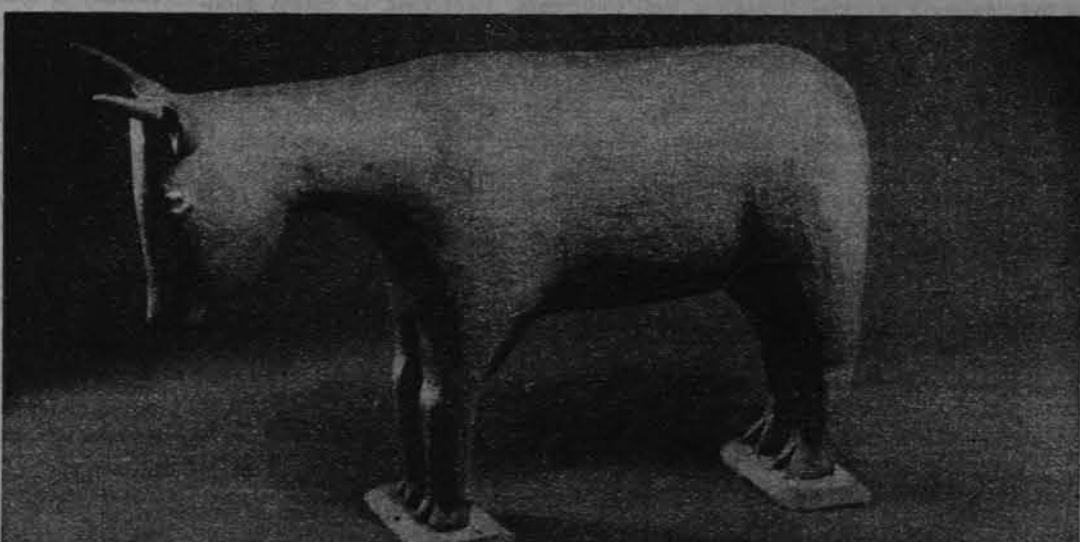


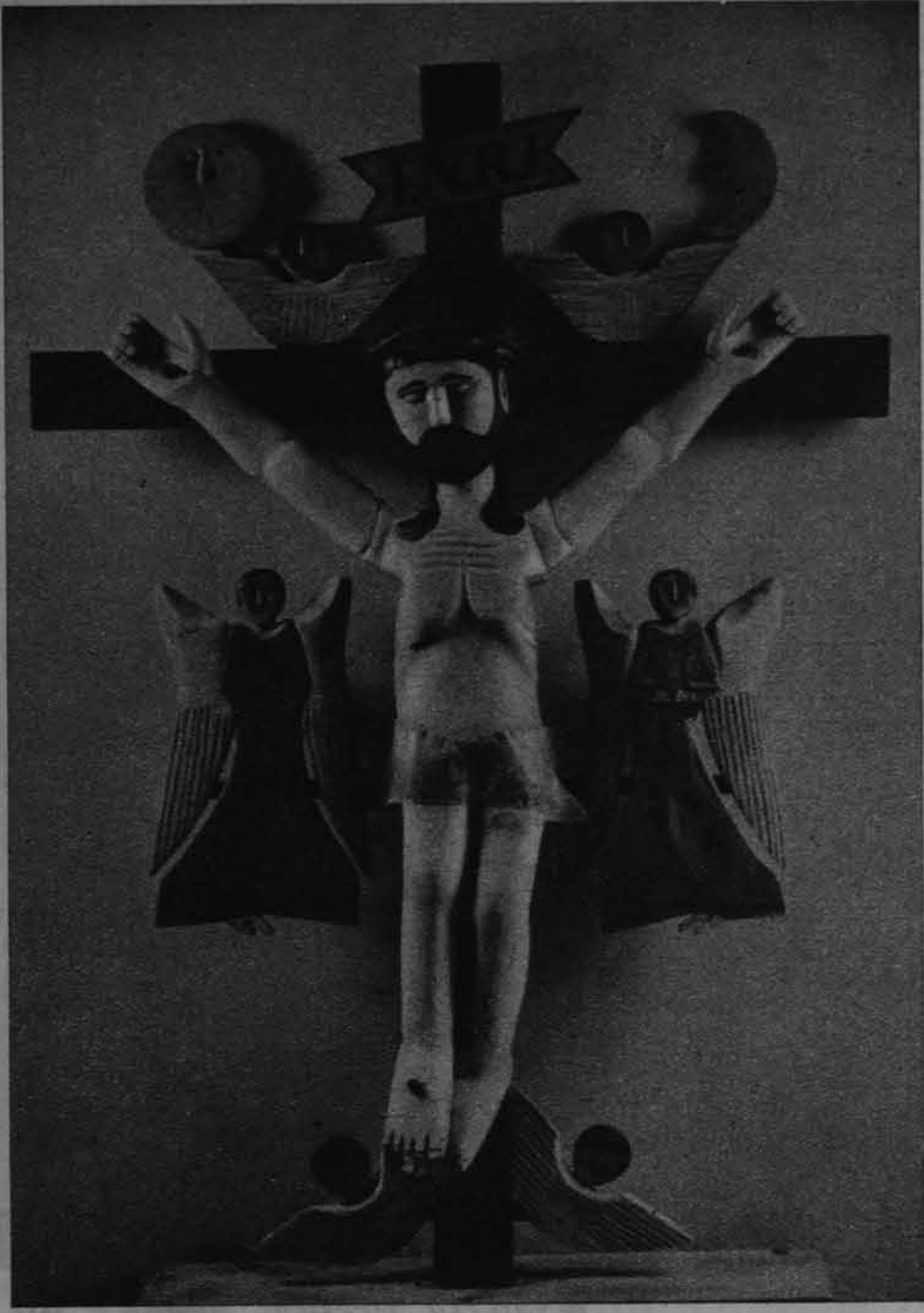
Przed wojną Lamęcki wykonał ponadto płaskorzeźbę M. Boskiej Częstochowskiej oraz dwie drewniane pasyjki, z których jedna datowana na rok 1930 stylem swym odbiega od dużej rzeźby Chrystusa. Działalność Lamęckiego obejmuje także naprawę i konserwację przydrożnych krzyży i kapliczek w Dąbrowie Zielonej i okolicy.

Do ciekawszych rzeźb wykonanych po wojnie można zaliczyć św. Antoniego z r. 1954 i św. Rodzinę z r. 1957. Rzeźby powojenne to dalszy rozwój twórczych możliwości Lamęckiego. Św. Antoni z Dzieciątkiem na ręku odbiega w zasadzie od typowych przedstawień ikonograficznych. Detale twarzy są tu schematyczne. Prosty nos, usta zaznaczone wgłębieniem, groteskowe oczy w postaci czarnych kropek otoczonych białą obwódką, dalej koliste plamy rumieńców tworzą tę zaskakującą w swej odmienności twarz świętego, daleką od naturalizmu.

Lamęcki chętnie powracał do tematów zwierzęcych. W ubiegłym roku wykonał dużą figurkę pawia. Natchnieniem była dlań w tym wypadku wisząca nad łóżkiem ludowa wycinanka i — pawie widziane w rzeczywistości. W tym samym zresztą roku wykonał również ruchomą rzeźbę dwu chłopów z cepami. Przypomina ona nieco zabawki Emausowe, sprzedawane w Krakowie w latach 30-tych.

Odbiorcą rzeźb Lamęckiego był krąg najbliższych krewnych i sąsiadów. Powodzeniem cieszyły się zwłaszcza rzeźby świętych patronów, wyko-





nane na zamówienie. Po roku 1956 krąg odbiorców się powiększył. Krakowskie Muzeum Etnograficzne oprócz szopki kupiło u Lameckiego

Chrystusa na krzyżu, św. Rodzinę, oraz figury chłopów z cepami. Rzeźba św. Antoniego i mała pasyjka znajdują się w posiadaniu autorki.

DOKOŃCZENIE ZE STRONY 6-tej

„Bożych Obiadów”. Starzy gazdowie pamiętają je albo z opowiadania starszych od siebie, albo nawet z autopsji. W Dębnie ostatni Boży Obiad urządzono gdzieś w 80-tych latach ubiegłego stulecia i mój informator, jeszcze jako mały chłopak, przyglądał mu się przez okno wraz z grupą innych dzieciaków. W tym domu zmarł gazda, a jego syn i spadkobierca postanowił uczcić pamięć ojca Bożym Obiadem. Rozpuścił więc między dziadami wieść, że w oznaczonym dniu wyprawia ucztę dla ubogich na intencję duszy ojca. Naschodziło się dziadów z całej okolicy, aż gęsto było w izbie. Zabito na tę okazję cielaka, uwarzono rosół, krupy i ziemniaki z kapustą, napieczono białych jęczmiennych kołaczy i postawiono te wszystkie pyszności na ławach przed dziadami. Dla podniesienia uroczystego nastroju na stole płonęła gromnica. Dziady jadły, gazdowie im usługiwali. Co pewien czas przerywano posiłek, wszyscy klękali i chórem odmawiali modlitwy za umarłych.

W Starym Bystrem na taki Boży

Obiad składało się kilku zamożniejszych gospodarzy — przygotowywali „warzonom gościom” dla dziadów. Działo się to w wielkie święta jak Boże Narodzenie i Wielkanoc — „potem takik nazywali miłosiernymi i ludzie ik sanowali” — mówi informator.

Nie zawsze Boży Obiad urządzano na intencję zmarłych; czasem za czyjeś wyzdrowienie, pomyślność dla gospodarstwa, lub jak w Białce, „na tyn intencjom coby mu (ofiarnodawcy) było w niebie policone”.

Było to wydarzenie rzadkie, nadzwyczajne, interesujące i godne przechowania w tradycji. Długo się o nim mówiło, a ten kto urządzał Boży Obiad nie tylko miał „w niebie policone” ale stawał się ważną i szanowaną osobistością. Do dziś żyją opowiadania o małym zabiedzonym dziadku, który w obawie, że na Bożym Obiedzie nie dopcha się do miski wystrugał sobie łyżkę o metrowej długości trzonku, którą ponad głowami innych sięgał po jedło; o gospodarzach hojnych i takich, którzy za miskę niemaszczonych ziemnia-

ków chcieli kupić modły dziadowskie.

Tradycyjne dziady podhalańskie



należą już do przeszłości. Naprawdę by ich szukać na odpustach, pogrzebach i w kruchcie kościelnej w dniu święta umarłych. Niektóre wsie mają jeszcze własnych żebraków, którzy dożywają swej dziadowskiej emerytury obsługując modłami duszyczki czyściciele sąsiedztwa — ale są to już niedobitki. Jakby to można powiedzieć językiem współczesnym — brak zupełnie młodego narybku, brak adeptów szlachetnego dziadowskiego rzemiosła.

Powody takiego stanu rzeczy są bardzo różne. Niewątpliwie, jeśli chodzi o udział dziadów w publicznych imprezach jak pogrzeby i święta kościelne, zasadnicze znaczenie ma zakaz żebractwa, wyłapywanie żebraków przez milicję i odsyłanie ich do domów starców. Bo dziadostwo, poza aspektem gospodarczym miało i swoje uroki, z których największym była zupełna swoboda i wielka ilość wrażeń jakich dostarczało wędrowne życie. Dom starców zapewnia strawę i mieszkanie ale odbiera wolność, wyrwa wiejskiego biedaka z jego środowiska. Nic też dziwnego, że ulokowanie w domu starców dla wiejskiego dziada „o śleobodnej naturze” równa się zamknięciu w więzieniu. Stąd starzy, którzy dawniej w razie złego traktowania zawsze mieli możliwość ucieczki i usamodzielnienia się w życiu dziadowskim — dziś muszą zrezygnować z tej szansy; wolą najgorsze traktowanie przez przyszłych spadkobierców we własnej chałupie, byleby pozostać we własnej wsi, własnym środowisku, a nie narazić się na deportację do przytułku.

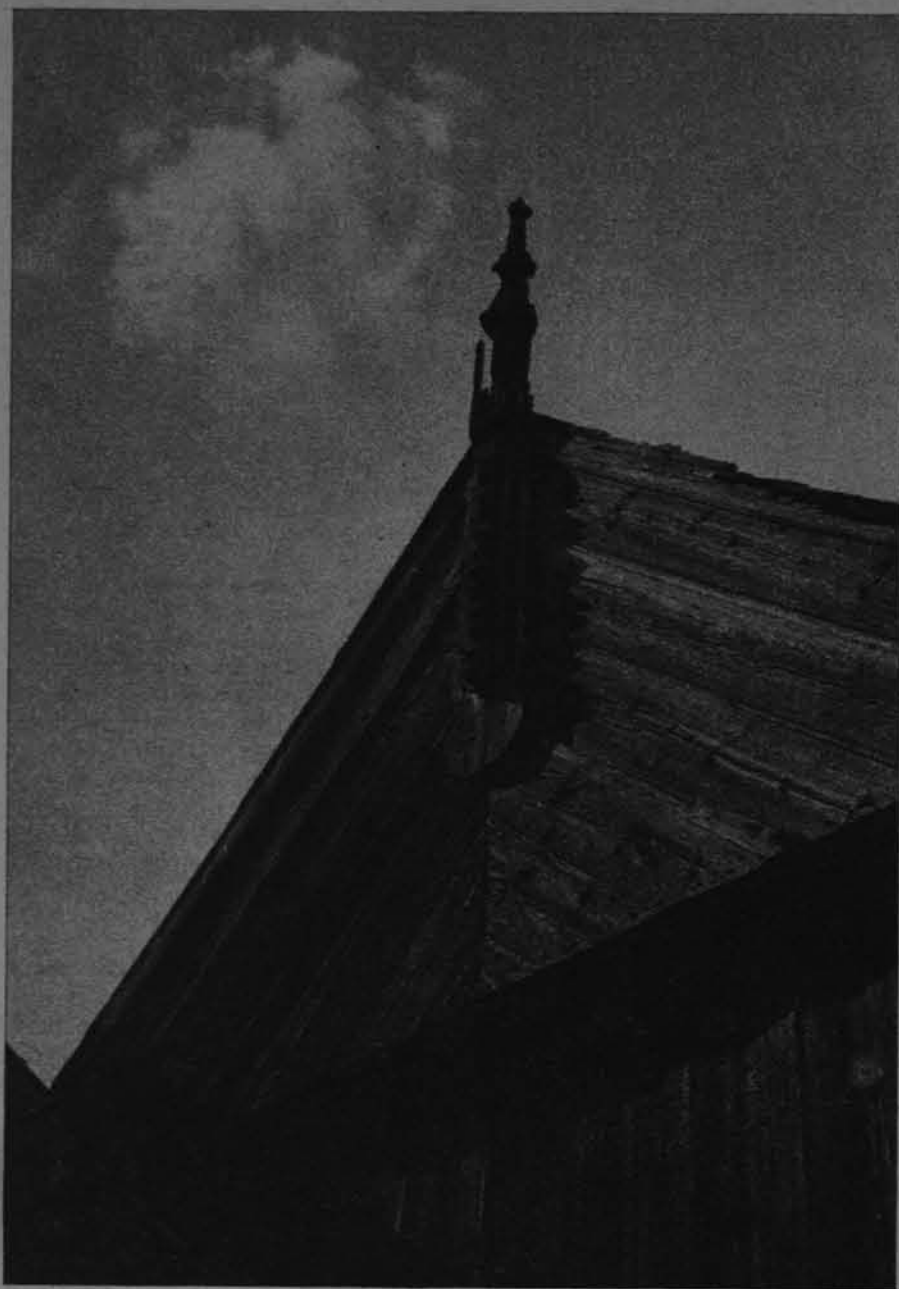
Do likwidacji dziadostwa przyczyniła się stale wzrastająca zdrowotność wsi — zwłaszcza racjonalne chowanie dzieci, oraz wprowadzenie na całym Podkarpaciu, jeszcze w okresie międzywojennym, jodowanej soli, która zlikwidowała matolectwo wynikające z niedoboru jodu — dawniej tak powszechne.

Wreszcie ostatnia, choć nie najmniej ważna przyczyna — to podniesienie ekonomiczne regionu, przypływ pieniędzy i łatwość zaopatrzenia się w środki spożywcze masowo importowane na Podhale. Dziś wyżywienie nieproduktywnego już w gospodarstwie członka rodziny nie jest zasadniczym problemem, nie ma ekonomicznej potrzeby pozbycia się go ze wspólnego gospodarstwa.

A więc tacy jak Monkosiów Dział w Cichym czy Marysia Pinirka w Kościelisku, to ostatni Mohikanie. Z ich śmiercią znikną z Podhala ostatnie dziadowskie tradycje.

ANNA KOWALSKA-LEWICKA





KARCZMA NAD JEZIOREM

Kiedy przeszło półtora roku temu (w nrze 2/56) pisaliśmy o mazurskiej karczmie z roku 1813, która po dziś dzień stoi we wsi Małszewo (pow. Szczytno), nie dysponowaliśmy fotografią tego malowniczego budynku. Reprodukowane zdjęcie nadesłał nam p. Tadeusz Chrzanowski. Od niego również dowiadujemy się iż jeszcze ubiegłego lata karczma była użytkowana przez ostatnią przedstawicielkę mazurskiej rodziny, która się tu osiedliła w początkach ubiegłego stulecia. Niestety nadal nie przywrócono budowli jej funkcji gospody-schroniska, którą — leżąc w pięknej okolicy, tuż nad jeziorem Małszewskim — mogłaby z powodzeniem spełniać. (1)



KUFRY OKRĘTNIKÓW

Podobnie jak w wielu innych regionach Polski, również na Kaszubach lud wiejski używał do niedawna skrzyń jako sprzętu schówkowego. Były tam w użyciu także skrzynie malowane ozdobnie. Na zdjęciu — skrzynia (pozbawiona wieka) ze wsi Rewa w pow. puckim, własność Franciszka Olszewskiego.

Faktem, jak się wydaje, zupełnie dotąd nie znanym jest używanie niewielkiej skrzyni ozdobionej malowanymi kwiatami jako podróznego kufra, który zabierali ze sobą na statek „okrętnicy”, Kaszubi-ma-

mieślników z przeznaczeniem zgodnym z ich funkcją, zaopatrzone były w uchwyty do przenoszenia z miejsca na miejsce i w zamek.

Widać więc, że nawet w tak wąskiej gałęzi sztuki ludowej jak malowane skrzynie, można natrafić na nowe i nieznane fakty. Z czasem, gdy studia nad sztuką ludową przejdą z okresu pośpiesznej inwentaryzacji w fazę poważnych badań, niewątpliwie ukażą się publikacje, zawierające wiele interesującego materiału. Na razie sztuka ludowa



rynarze, pływający w niemieckiej flocie przed I wojną światową. Skrzynki te, wykonane przez rze-

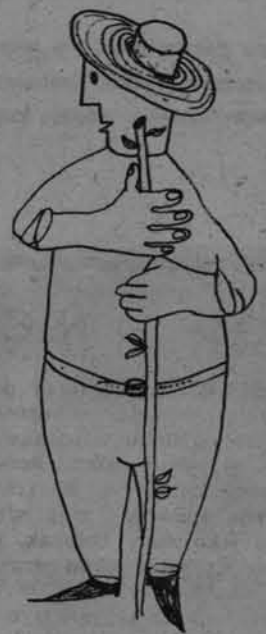
nadal może być terenem niespodziewanych odkryć dla amatorów-badaczy. (PS)



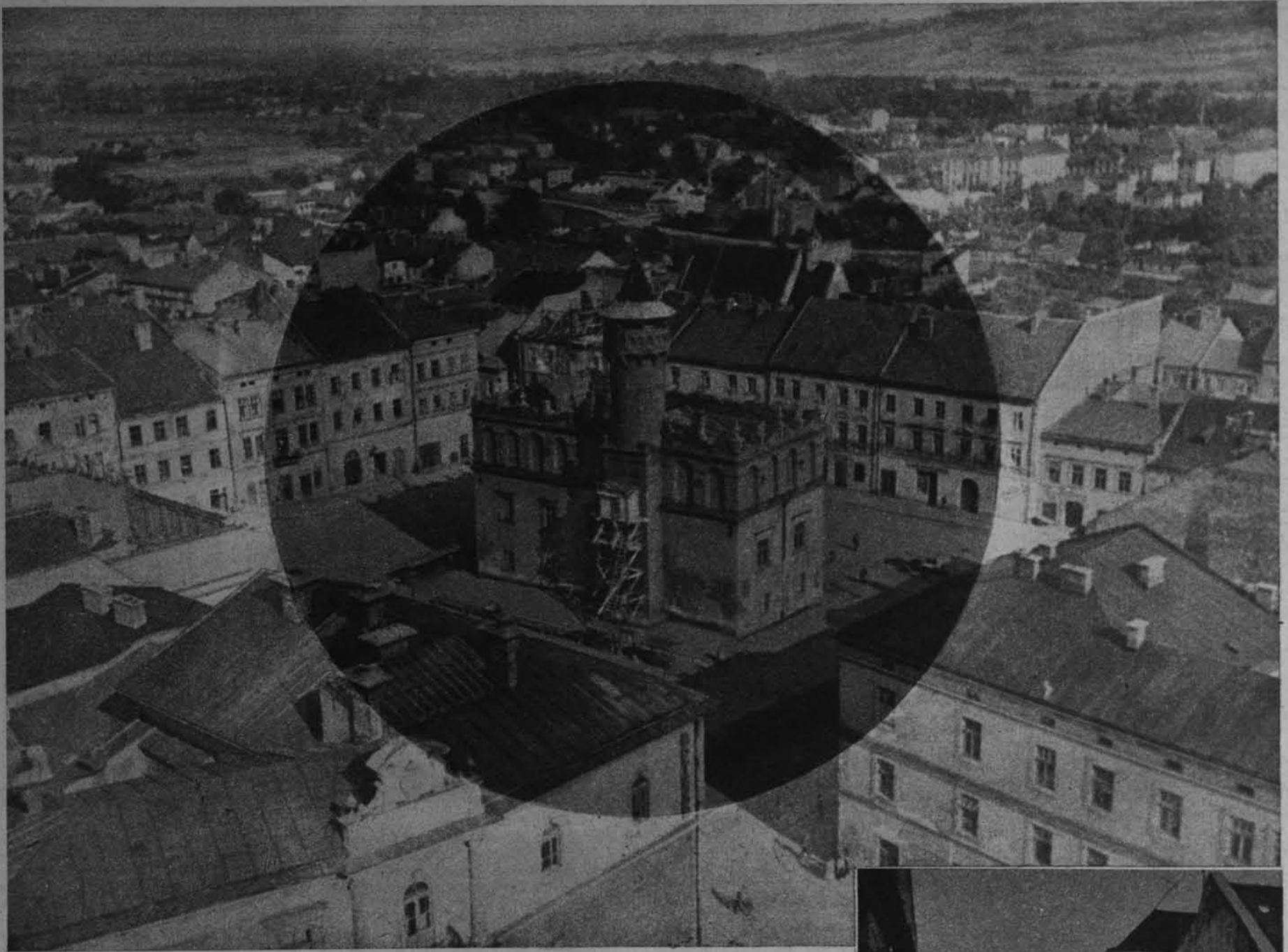
Gdzie idziesz?

- do lasu...

Wregionie Gór Świętokrzyskich zachowało się żywe jeszcze wspomnienie osobliwej miary długości. Gdy wieśniak miał zamiar sporządzić sobie nowe cepy do młocenia zboża, udawał się najpierw do lasu, aby wypatrzeć odpowiednie młode drzewka na „dzierzak”, kij do trzymania w rękę, i na „bijak”, przytwierdzony do niego później skórzanym wiązaniem. Miara długości dierzaka była dość prosta — powinien on sięgać od ziemi do nosa młocarza. Bijak natomiast wymierza-



ło się następująco. Wieśniak chwycił kij dłonią u samego spodu. Drugą garścią obejmował kij nieco powyżej, ściśle zsuwając dłonie. Następnie przekładał kolejno jedną dłoń nad drugą, wymawiając przy tym poszczególne człony wierszyka: „Gdzie idziesz? — Do lasu — A po co? — Po kijok — A na co? — Na bijok — A jaki — Debowy — Utnij ze mu Po ty głowy.” Odmierzwszy w ten sposób dziesięć szerokości dłoni, ucinał kij w odpowiednim miejscu (PS)



Józef E. Dutkiewicz

ZAGROŻENIE ZABYTEKÓW TARNOWA

Artykuł ten, napisany przez jednego z najwybitniejszych współczesnych historyków sztuki, drukujemy jako wzór i przykład dla tych, którzy ceniąc zabytki i rozumiejąc ich znaczenie, planują akcję ochrony zabytkowych zespołów urbanistycznych.

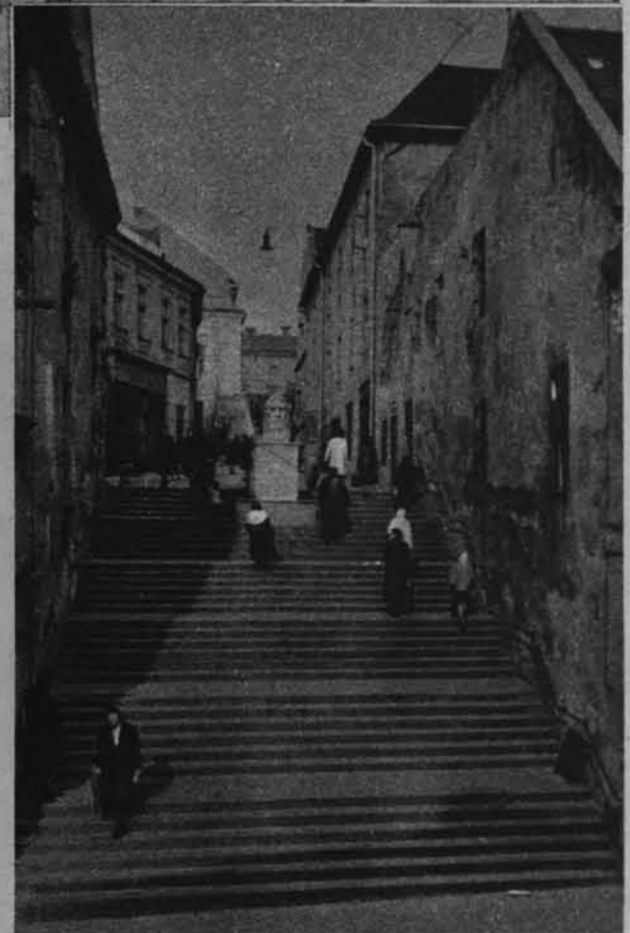
Pierwotna osada stała na wysokim, owalnym płaskim wzgórzu o stromych stokach, mając już z początkiem XII wieku wspaniałą sytuację widokową i obronną. Lokacja miasta na prawie magdeburkim w roku 1330 dała osadzie regularny plan z siatką ulic, z prostokątnym rynkiem i dwoma lub trzema placami handlowymi. Dogodne położenie na skrzyżowaniu dróg handlowych z Węgier i z Rusi oraz korzystne warunki ekonomiczne miasta, będącego prywatną własnością feudalnego możnowładcy sprawiły, że w ciągu XVI w. rynek i sąsiednie ulice zabudowały się murywanymi kamienicami często bogato wyposażonymi. W tym czasie ratusz otrzymał szatę renesansową, a dwie pierzeje rynku otrzymały ciągi arkadowe. Przej pierzei północnej stały trzy reprezentacyjne domy podcieniowe. W ten sposób Rynek otrzymał zwartą kompozycję renesansową

jedyną z tego czasu w Polsce, wyprzedzając Zamość. Ta renesansowa zabudowa na średniowiecznym planie, z gotycką sylwetką kolegiaty i renesansową koronką attyki ratusza, nadały odtąd piętno miastu. Jego piękna sylwetka z bogatym ukształtowaniem przestrzennym przetrwała w prawie niezmiennym stanie do naszych czasów. Wieki XV i XVI nie wiele już dorzucił do pierwotnego organizmu miasta. Poza jego granicami wznosił się na północnym stoku Góry św. Marcina zamek panów miasta, Tarnowskich, założony w XIV, przebudowany w XVI i rozebrany na materiał w połowie XVII wieku. Również poza granicami miasta w połowie XVIII w. powstał pałac i park Sanguszków w Gumniskach. Tak ukształtowana bryła dawnego miasta uległa zniekształceniu z końcem XVIII w. gdy rozebrano mury obronne, a tereny fos i wałów sprzedano

U góry: ratusz w Tarnobrzegu. Fot. Andrzej Rudnik. Obok: Wielkie Schody. Fot. Tadeusz Chrzanowski.

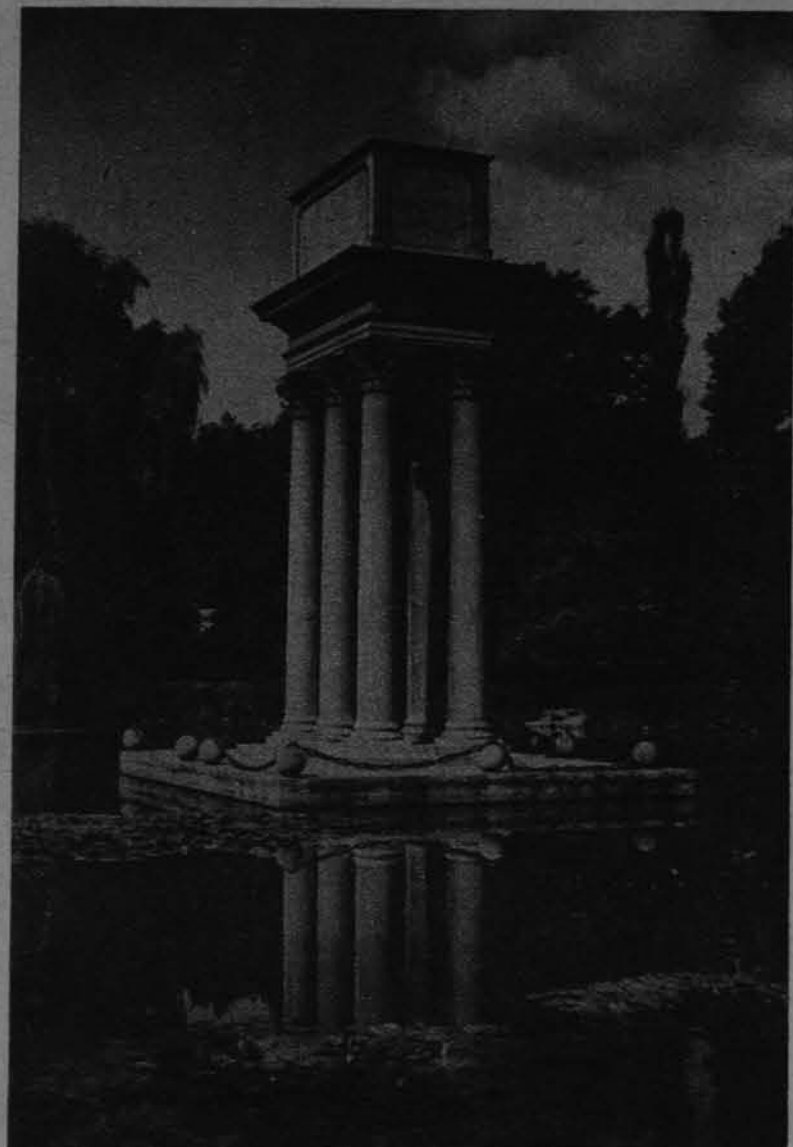
pod zabudowę od r. 1836. Wtedy to zabudowano otaczające Stare Miasto ulice: Wałową, Szeroką, Bernardyńską i Targową. W obudowie tej znikły zarówno resztki dawnych murów obronnych jak i decydujący o wyglądzie starego miasta efekt różnic wzniesień w stosunku do otoczenia. Rynek Starego Miasta był ośrodkiem życia gospodarczego i kulturalnego tylko do początku XIX w. Później następowało powolne zanie-

dbanie i zniszczenie Starego Miasta, zamieszkałego już w XX w. przez biedotę miejską. Domy w tej części miasta pozbawione właściwej konserwacji były niemiłosiernie eksploatowane. Przerabiano wnętrza, pruto mury przewodami kominowymi i wadliwie prowadzonymi pionami instalacyjnymi, pozbawiono domy koniecznego zabezpieczenia. Ten stan rzeczy przetrwał do ostatniej wojny, kiedy to warunki ich zachowania po-





Tarnów. Bima po dawnej bóżnicy z XVII w. Fot. A Rudnik.



Mauzoleum generała Bema w Tarnowie. Fot. Tadeusz Chrzanowski.

U dołu: przedwojenne zdjęcie domu nr 32 przy ul. Żydowskiej w Tarnowie.

gorszyły się znowu znacznie, a nawet wyłoniło się niebezpieczeństwo zagłady większości zabudowy ulic i Rynku. Opuszczenie wielu posesji przez właścicieli i nieprzyjęcie ich przez Państwo utrudnia ustalenie odpowiedzialności za stan budynków i ich ruinę. Prezydium Miejskiej Rady Narodowej w Tarnowie w ciągu 12 lat ubiegłego okresu nie tylko że nie przejawiało zainteresowania dla zagadnień Starego Miasta, ale podejmowaną inicjatywę w kierunku ratowania

zabytków na tym terenie uważało za przejaw wsteczności i braku postępowości. Rezultatem tego było popadnięcie we wtórną ruinę szeregu budynków zabezpieczonych przez konserwatora wojewódzkiego w latach 1948—52 jak np. Rynek 21, Żydowska 6, 11, 18, 20, Forteczna 3 i 2, Zakątna 8 itd. Działo się to wtedy, gdy inne miasta polskie jak Warszawa, Wrocław, Gdańsk, Poznań, Lublin, Zamość, Kazimierz odbudowywały lub przyszywały pierwotny wy-

gląd swym dzielnicom staromiejskim. Również i Wydział Budownictwa zaniedbał nadzoru nad budownictwem i obiektami zabytkowymi miasta. Wojewódzki Zarząd Architektoniczno-Budowlany nie podjął trudu opracowania szczegółowego planu przestrzennego tej części miasta, a Wojewódzki Konserwator Zabytków podejmując oderwane inicjatywy ratowania zabytków nie opanował całości zagadnienia. Rezultatem takiego układu stosunków na terenie miasta jest długa lista strat w zabytkowym stanie posiadania. Na terenie Starego Miasta 15 domów zostało już po wojnie rozebranych lub znajduje się w kompletnej ruinie. Są to domy: przy ul. Żydowskiej 19, 9, 24, Kapitulnej 5 i 7, Wekslarskiej 11, Zakątnej 8 i 15, Wąskiej 7, 9, 11 i 13, Taras 3, Starej 3, Fortecznej 3. Dalszych 15 domów znajduje się w stanie częściowej ruiny lub zagrożenia, albo popadło w powtórna ruinę po zabezpieczeniu i odbudowie w latach 1948—52 z braku dalszej konserwacji. W okresie dziesięciolecia odbudowano z kredytów konserwatorskich trwałe domy przy pl. Rynek 20 i pl. Katedralnym 5. Odbudowano także attyki na domach nr 19—21 w Rynku. Inne odbudowane przez konserwatora domy, np. przy ul. Żydowskiej 16 i 20, Zakątnej 8 popadły z braku dalszego zainteresowania nimi w ruinę. O ile stan zaniedbania i zniszczenia domów da się w części usprawiedliwić ciężką sytuacją finansową miasta i trudnościami organizacyjnymi, o tyle cały szereg zaniedbań i szkód pośród zabytków miasta nie da się tymi okolicznościami wyjaśnić. Jedną z najważniejszych szkód, która na długie lata przesądziła niemożność odwołania zespołu urbanistycznego Starego Miasta od strony północnej, było udzielenie zezwolenia na odbudowę bezwartościowej rudery przy ul. Wałowej 5 z końca XIX w. wbrew opinii konserwatora i projektantów planu przestrzennego miasta. Przy okazji rozebrano przylegający do niej mur przedmurza wraz z częścią baszty z XVI w. Dalszą szkodą jest dewastacja starego zabytkowego cmentarza z r. 1784.

Wyliczenie długiej listy strat i szkód w dziedzinie zabytków na te-

renie Starego Miasta w ubiegłym okresie nie oznacza, aby należało się w tych sprawach ograniczyć do krytyki. Niewątpliwie okres ubiegły nie był okresem dobrej koniunktury dla zabytków. Niechęć do dawnej architektury, obskurantyzm godny XVII lub początków XIX w., brak zrozumienia dla wychowawczej i estetycznej roli zabytkowej urbanistyki i architektury i nieznanostwo wartości jej rozwoju wyrządziły wiele szkód w tej dziedzinie. Winę ponoszą tu władze wszystkich stopni, jak i społeczeństwo, które nie przejawiało zainteresowania ani energii, aby zapobiec istniejącemu stanowi rzeczy. Dopiero w ostatnim czasie wiele zmieniło się na tym polu.

Tarnów leży w zasięgu największego w Polsce okręgu turystycznego Krakowa i Podkarpacia. Okręg ten ma żywą tendencję rozwojową. Jego wzrost z roku na rok daje się obserwować na terenie Tarnowa i okolicy. Miasto musi się przygotować na rozwój wspólnej instytucji kulturalnych i organizację badań naukowych. Naszą wspólną troską musi być nie tylko zachowanie istniejącego Starego Miasta, ale też wypielegnowanie go i utrzymanie w takim stanie, który budziłby uznanie widzów nie tylko krajowych, ale i zagranicznych. Aby to osiągnąć, należy, zdaniem moim, wysunąć następujące postulaty:

1. Należy przystąpić niezwłocznie do opracowania szczegółowego planu przestrzennego Starego Miasta z przylegającymi terenami na południe określonymi na wstępie do nin. uwag. Plan taki musiałby się oprzeć na wcześniejszej szczegółowej inwentaryzacji zabudowy wspomnianego terenu.
2. Do planu szczegółowego należałoby przyjąć następujące założenia:
 - a) odsłonięcie od północy, tj. od ulicy Wałowej i od południa, tj. od ulicy Bernardyńskiej stopy wzgórza, na którym stało Stare Miasto, a zarazem jego dawnej zabudowy, murów i urządzeń obronnych.
 - b) uporządkowanie d. zespołu zabudowań bernardyńskich, ulicy targowej, pl. Bema i Panny Marii,





Chorobę wrzodową żołądka i nadkwasotę

LECZY SKUTECZNIE

»PROACID«

w tabletkach — Do nabycia w aptekach:

SPÓŁDZIELNIA PRACY Farmaceutyczno-Chemicznej

„Piotolek“ Poznań, Garbary 96

TRAMWAJ KRAKOWSKI

Rano		Popołudniu		Wieczór	
Odjazd		Odjazd		Odjazd	
Most	Dworzec	Most	Dworzec	Most	Dworzec
6 ⁴⁰	7 ¹⁵	12 ²	12 ¹⁷	5 ¹⁰	5 ⁴⁵
6 ⁵⁴	7 ²⁹	12 ¹⁶	12 ⁵¹	5 ²⁴	5 ⁵⁹
7 ⁸	7 ⁴³	12 ³⁰	1 ⁵	5 ³⁸	6 ¹³
7 ²²	7 ⁵⁷	12 ⁴⁴	1 ¹⁹	5 ⁵²	6 ²⁷
7 ³⁶	8 ¹¹	12 ⁵⁸	1 ³³	6 ⁶	6 ⁴¹
7 ⁵⁰	8 ²⁵	1 ¹²	1 ⁴⁷	6 ²⁰	6 ⁵⁵
8 ⁴	8 ³⁹	1 ²⁶	2 ¹	6 ³⁴	7 ⁹
8 ¹⁸	8 ⁵³	1 ⁴⁰	2 ¹⁵	6 ⁴⁸	7 ²³
8 ³²	9 ⁷	1 ⁵⁴	2 ²⁹	7 ²	7 ³⁷
8 ⁴⁶	9 ²¹	2 ⁸	2 ⁴³	7 ¹⁶	7 ⁵¹
9 ⁰	9 ³⁵	2 ²²	2 ⁵⁷	7 ³⁰	8 ⁵
9 ¹⁴	9 ⁴⁹	2 ³⁶	3 ¹¹	7 ⁴⁴	8 ¹⁹
9 ²⁸	10 ³	2 ⁵⁰	3 ²⁵	7 ⁵⁸	8 ³³
9 ⁴²	10 ¹⁷	3 ⁴	3 ³⁹	8 ¹²	8 ⁴⁷
9 ⁵⁶	10 ³¹	3 ¹⁸	3 ⁵³	8 ²⁶	9 ¹
10 ¹⁰	10 ⁴⁵	3 ³²	4 ⁷	8 ⁴⁰	9 ¹⁵
10 ²⁴	10 ⁵⁹	3 ⁴⁶	4 ²¹	8 ⁵⁴	9 ²⁹
10 ³⁸	11 ¹³	4 ⁰	4 ³⁵	9 ⁸	9 ⁴³
10 ⁵²	11 ²⁷	4 ¹⁴	4 ⁴⁹	9 ²²	9 ⁵⁷
11 ⁶	11 ⁴¹	4 ²⁸	5 ³		
11 ²⁰	11 ⁵⁵	4 ⁴²	5 ¹⁷		
11 ³⁴	12 ⁹	4 ⁵⁶	5 ³¹		
11 ⁴⁸	12 ²³				

Łaczą większe oznaczają godziny; mniejsze, minuty.

Odległość od Mostu podgórskiego do Dworca kolei 2,800 metrów.

Czas jazdy 18 minut.

Przystanki:

1. Most podgórski.
2. Kazimierz, ulica Skaleczna,
3. Stradom, ulica Dietlowska.
4. Stradom, Kościół XX. Misyonarzy.
5. Poczta główna.
6. Ulica Grodzka, Kościół św. Piotra.
7. Magistrat.
8. Rynek, ulica Sienna, Sukiennice.
9. Ulica Floryańska, Hotel „pod Różą.“
10. Rondel floryański, Kleparz.
11. Dworzec Kolejny.

Linia Most podgórski — Dworzec, podzielona na trzy sekcje:

Sekcja I: Most—Poczta. Sekcja II: Poczta—Rynek. Sekcja III: Rynek—Dworzec.

Wagony podzielone na dwie klasy.

Ceny jazdy:

Przejazd jednej sekcji w I klasie 4 cent. | Przejazd jednej sekcji w II klasie 3 cent.
 „ za dwie sekcje „ 8 „ | „ za dwie sekcje „ 6 „
 „ za całą przestrzeń „ 12 „ | „ za całą przestrzeń „ 8 „

Dzieci do wysokości 1 metr 30 cm. płacą w II klasie za jedną sekcję 2 centy, za 2 sekcje 3 centy, za całą przestrzeń 4 centy.

Goście używający Tramwaju, płacą zaraz po wsiadaniu odpowiednią cenę i otrzymują od konduktora bilet, który ma być zachowany aż do końca jazdy i na żądanie kontrolora okazany.

Uprasza się w wagonach tytoniu nie palić.

- c) założenie na miejscu wyburzonej zabudowy ulic Wałowej i Bernardyńskiej, oraz wokół zespołu „bernardyńskiego“ (pl. Sprawiedliwości, ul. Franciszkańska) — terenów zielonych, które stworzyłyby w centrum miasta rodzaj zielonych plant.
- d) przywrócenie dawnych ciągów podsiennych w pierzejach zach. i wsch. Rynku, celem przywrócenia pierwotnej kompozycji renesansowej Rynku.
- e) odbudowa placu Rybnego i częściowa rekonstrukcja murów obronnych od południa i północy, uzupełnienie brakującej zabudowy.
3. Rewizja i modernizacja urządzeń kanalizacyjno-wodociągowych na terenie Starego Miasta. Rewizja dachów i pokrycia całego terenu. Urządzenie rynien, rur spustowych i ścieków burzowych. Modernizacja urządzeń higieniczno-sanitarnych.
4. Przeprowadzenie robót remontowo-budowlanych zagrożonych budynków. Następnie dokonanie remontów budowlano-fasadowych. Korekta murów ogniowych i wyglądu dachów. Odbudowa brakującej zabudowy. Odgruzowanie i częściowa rekonstrukcja murów obronnych.
5. Właściwa polityka lokalowa na terenie Starego Miasta. Przeniesienie handlu typu wiejskiego do innej dzielnicy, a skupienie na terenie St. Miasta handlu galanterijnego, towarów luksusowych, pamiątkarskiego itp. Wprowadzenie zakładów gastronomicznych i rozrywkowych I klasy. Zlokalizowanie hotelu i Domu Turystycznego na tym terenie. Skupienie tutaj obok już istniejących innych instytucji kulturalnych, klubów, wystaw itp. Skupienie określonego typu lokatorów z wybranych zakładów pracy lub instytucji kulturalnych.
6. Uporządkowanie i opieka nad starym cmentarzem i dwoma kościołkami drewnianymi, jako zespołem skansenowskim oraz murami na Górze św. Marcina.

7. Dla zrealizowania tych celów, rozwinięcie szerokiej propagandy dla pozyskania kredytów w skali ogólnokrajowej na odbudowę i uporządkowanie St. Miasta. Wprowadzenie do planu tych prac na drodze uzasadnienia politycznego i gospodarczego. Pozyskanie odpowiedniego poparcia Rządu. Podjęcie specjalnych akcji cegiełek, opłat, znaczków na omawiane cele.
8. Wprowadzenie do organizacji władz budowlanych i kulturalnych Miejskiej Rady Narodowej stanowisk urbanisty i konserwatora, którzy czuwaliby nad realizacją powyższych postulatów.
9. Rozwinięcie szerokiej propagandy prasowej, odczytowej i wystawowej wśród społeczeństwa Tarnowa,

wa, zakładów pracy i młodzieży, dla pozyskania zrozumienia i poparcia dla prowadzonej akcji. Utworzenie Społ. Komitetu, lub

T-wa Ochrony Zabytków Tarnowa, współpraca z PTTK itd.

JÓZEF E. DUTKIEWICZ

Dworek przy ul. św. Marcina w Tarnowie. Fot. T. Chrzanowski.





Z O F I A K I E L A N

TRYLLOBITY

Na jednym ze wzgórz lewego brzegu Weltaawy w Pradze znajduje się kawiarnia, która nazywa się „Trylobit”. Przy wejściu do niej widnieją duże rozmiarów wizerunki starożytnego stawonoga. Trudno się dziwić popularności trylobitów w Pradze. Wokół miasta, w dolinach Berounki i Weltaawy, a nawet i w samym mieście znajdują się liczne odsłonięcia wapieni i łupków osadzonych ongiś w morzach ery paleozoicznej. W odkrywkach tych często można spotkać młodych chłopców czeskich „polujących” na trylobity, to jest wybijających je młotkiem ze skały.

W Polsce, w pobliżu dużych miast nieliczne trylobity można spotkać jedynie pod Krakowem, na większe jednak poszukiwania tych interesujących skamieniałości należy wybierać się w Góry Świętokrzyskie, lub Sudety.

Co to są trylobity i skąd się wzięły w skałach Gór Świętokrzyskich czy w okolicach Czeskiej Pragi?

Około pół miliarda lat temu, w erze paleozoicznej, morza zalewały znaczną część dzisiejszych kontynentów Europy i Ameryki. W morzach tych żyły różne zwierzęta odbiegające wyglądem i budową od dzisiejszych, a wśród nich waż-

ną rolę odgrywały prymitywne stawonogi-trylobity. Były to na ogół niewielkie, kilkucentymetrowe zwierzęta, dochodzące jednak czasem do 70 cm długości. Właściwy stawonogom pancerz chitynowy był u trylobitów silnie zwapniały i pokrywał ich ciało tylko od strony grzbietowej. Trylobit składa się z głowy, tułowia i tarczy ogonowej. Podłużne bruzdy przebiegające przez cały pancerz dzielą go na trzy płyty: środkową i dwa boczne, od których pochodzi nazwa szczepu (z greckiego: *treis*-trzy, *lobos*-płat).

Po obu stronach głowy trylobita znajdowały się duże, złożone oczy, na których wyróżnić można często poszczególne soczewki. Jednak niektóre trylobity, żyjące głęboko na dnie morza były ślepe — całkowicie pozbawione oczu.

Żyjący dzisiaj potomkowie trylobitów — skorupiaki i pajęczaki, różnią się między innymi tym od swych przodków, że ich kończyny zmieniły się w różne skomplikowane narządy, takie jak szczęki, żuwaczki, nogi i skrzela, gdy natomiast owe dawno wymarłe zwierzęta miały na każdym segmencie ciała parę jednakowych, rozgałęzionych kończyn, z których każda

służyła jednocześnie do oddychania, pływania, a także częściowo do pobierania pokarmu. Większość z nich zamieszkiwała środowisko denne, część jednak przeniosła się w wyższe warstwy morza, zmieniając jednocześnie formę pancerza, który stał się lekki i pojawiły się na nim kolczaste wyrostki, ułatwiające unoszenie się w wodzie.

Trylobity rozwijały się na naszej planecie przez 300 milionów lat, żyjąc w morzach wszystkich okresów ery paleozoicznej (to jest w kambrze, ordowiku, sylurze, dewonie, karbonie i permie). Ostatnie z nich wygasły około 200 milionów lat temu. Grupa ta nie wymarła jednak bezpotomnie. W Ameryce Północnej zachowały się skamieniałości o cechach przejściowych, które wskazują, że z tych dawnych stawonogów powstały drogą wielu przekształceń dzisiejsze skorupiaki i pająkosształtne, które z mórz przeszły do wód słodkich a następnie do życia lądowego.

Dzięki temu, że pancerze trylobitów bądź ich odciski zachowały się w skałach z ubiegłych epok geologicznych, można było poznać budowę i odtworzyć tryb życia tego wygasłego, a tak bujnie rozkwitającego ongiś szczepu.



PODWODNE ŁĄKI



Z dawnych czasów pływali na stąkach niemieckiej floty. Później, kiedy w Gdyni zaczęły pracować bagry, kopiące portowe kanały, chodzili tam do roboty i znajdowali w piasku bryły bursztynu wielkości pięści. Mniejsze zbierali nadal na Szpyrku. Sprzedawali, jak wszystko, co się dało sprzedać, jak ryby, siano, mleko. Ryb było coraz mniej. O miejsce na stawiania sieci na ginące lososie stacjali nieraz bójki.

Coraz więcej łodzi próchniało bezużytecznie, a ich właściciele zaciągali się na kutry, płynące na Północne. Roztopy lub deszcze psuły zbiór siana, na piaskach wydym ubogie zbierało się plony. Tylko jeden dochód, choć niewielki, był, jak sięga pamięć ludzka, niezawodny.

O różnych porach dnia można na plażach Rewy spotkać ludzi, którzy zagrabiają na kupki brunatnozielone pasemka trawy morskiej. Nabijają nimi worki, kładą te olbrzymie brzemiona na plecy i znoszą do wsi, gdzie ładuje się je na drabiniaste wozy, by odwieźć na sprzedaż. Tak wygląda ostatnia droga *Zostera marina*, trawy morskiej, panującej rośliny dennej bentosu Zatoki Puckiej.

Na piaszczystym, płytkim dnie, osłonięte mierzeją Szpyrku i Ryfem Mew od wschodnich sztormów, plenią się Podwodne Łąki. Przed szybą okularu nurka przesuwają się oświetlone ruchomymi błyskami słońca zwarte plamy ciemnozielonej trawy, długie, powiewające w prądzie pędy niby-zboża, żółtozielone kępy puszystych glonów, różowe i brązowe algi, twarde brunatne krzaki morskocyny.

85 roślin kwiatowych i glonów

składa się na szatę dna Zatoki Gdańskiej. Każda oprócz polskiej ma znaną botanikom nazwę łacińską, każda ma odmienne właściwości i cechy, kwalifikujące ją do poszczególnych elementów, składających się na osobliwość przyrodniczą Bałtyku. Spotyka się w nim zarazem elementy Północy i Południa. Jedne gatunki są typowe dla wód Oceanu Lodowatego, inne dla Morza Północnego, inne znane są z Atlantyku aż pod brzegami Afryki, inne spod Wysp Owczych, z wybrzeży Norwegii czy Islandii.

Poczynając od ostatniego zlodowacenia Bałtyk przechodził bardzo zmienne koleje losu. Był lodowym jeziorem słodkowodnym, następnie, uzyskawszy połączenie z morzem przez dzisiejszą Szwecję — zimnym morzem Yoldia, potem znów jeziorem Ancylusowym. Ponowne połącze-

Charakterystyczne rośliny podmorskiej łąki na dnie Bałtyku.

Wstępne obserwacje dna morskiego przeprowadzono pływając po powierzchni.



nie z morzem i zmiana klimatu przekształciły go w morze Litorinowe, bardzo słone i ciepłe. Później znów klimat się oziębia, a ostatnia faza, morze Mya, to okres mieszany, na-

poły morski, napoły słodkowodny. Jednak nawet w najcieplejszych okresach pozostawały zawsze chłodne zakamarki, gdzie przechowały się gatunki arktyczne, a kolejne ozie-



THE SATURDAY EVENING POST



Szalupa ekspedycji badawczej Zakładu Botaniki PAN. Pod wodę schodzi doc. Jan Kornaś w kompletnym skafandrze nurkowym.



Mgr. Elżbieta Pancerówna po powrocie z dna morskiego podaje na szalupę woreczek plastikowy zawierający zebrane okazy roślin.

bienia nie wytepiły całkowicie roślin ciepłowodnych. Stąd dla botanika flora Bałtyku to karty historii tak dziwnej, że aż zostały nazwane przez jednego z uczonych „bałtyckim eksperymentem”. Choć więc Bałtyk uboższy jest w roślinność (120 gatunków) od innych mórz (np. Północne — 480 gatunków) stanowi jednak prawdziwe muzeum przyrodnicze, jakby botaniczną Arkę Noego.

Wbrew spodziewaniu, badania podmerskie rozpoczęły się tutaj bardzo późno. Niemcy zaniedbali je zupełnie. Szwedzi pracowali nad systematyką u swoich wybrzeży. Dopiero Michał Siedlecki, podróżnik, zoolog i oceanolog, zachęcił swych uczniów i następców do badań Bałtyku. Okres międzywojenny — to ekspansja na tym terenie ośrodka krakowskiego. Wśród licznych akcji badawczych na podkreślenie zasługują szczególnie wyniki prac prof. Wojtusiaka, który wraz z botanikiem Bursą zapoczątkował badania nad florą i fauną przy pomocy nurkowego hełmu dzwonowego. Wojna przerwała obiecujący

rozwoj tych prac. Po wojnie, w r. 1948 doc. Kornaś ogłosił wraz z żoną pierwszą próbę charakterystyki dennych zespołów roślinnych.

Same gatunki roślin morskich poznano już dawno, można je było wyciągać przy pomocy czerpaka. Aby jednak badać zespoły w warunkach naturalnych, trzeba najpierw umożliwić przyrodnikom swobodne poruszanie się pod wodą. Epoką stał się w tej dziedzinie rok bieżący. Trzema zaś „bohaterami” tej epoki zostali: doc. Jan Kornaś, Witold Zubrzycki i „aqualung” — francuski skafander swobodny. Pierwszy z nich, to botanik, adiunkt Instytutu Botaniki PAN z Krakowa, badacz flory podmerskiej. Drugi — pionier i niestrudzony propagator swobodnego nurkowania, fotograf podwodny i filmowiec. Trzeci — zawiera w butlach sprężone do 150 atmosfer powietrze, podawane nurkowi przez specjalny reduktor w takim ciśnieniu, w jakim napiera nań woda. Umożliwia prawie godzinny pobyt pod wodą. Uniezależnia od rur, sznurów, telefonów. Nurek jest swo-

bodny i ruchliwy, staje się mieszkańcem morza.

Obóz badawczy Polskiej Akademii Nauk miał skład następujący: z Krakowa — doc. Kornaś i jego asystenci, mgr Elżbieta Pancerówna i mgr Bolesław Brzyski, zaś ze Stacji Morskiej PAN w Sopocie — W. Zubrzycki i jego pomocnicy, inż. Wawryniewicz, nurkowie K. Pielak i T. Zydler. Obóz odbył się w pierwszej połowie lipca. Bazę umiejscowiono w Rewie, ze względu na bliskość owych prawdziwie niezwykłych łąk podmerskich, na dobrą przejrzystość i ciepłość wód, na dogodność brzegu.

Flota ekspedycji składała się z dwu jednostek: barkasu czyli wielkiej szalupy wioślowo-żaglowej i szalupy mniejszej. Wyposażenie specjalne to trzy aqualungi francuskie, zapas sprężonego powietrza w butlach, maski, pletwy, głębokościomierze, rurki oddechowe, ochronne ubiory z gumy piankowej, kamery fotograficzne i filmowe w podwodnych pancierzach.

Dzień pracy zaczynał się wcześnie, kończył późno. Szalupy trzeba było

najpierw zepchnąć na wodę, przenieść dobytek z magazynu, załadować, wyholować statki wzdłuż brzegu w odpowiedni punkt. Potem ubierano nurków, wyważano ołowianymi ciężarkami i dopiero zaczynała się właściwa praca. Po drabince zakotwiczonej szalupy nurkowie schodzili do morza. Botanicy wybierali sobie „powierzchnię zdjęcia”, zwykle 10 m kw. Pływając nad tym obszarem, zapisywali na blaszanej tabliczce zwykłym ołówkiem a czytelnymi dla uczonych kulfonami słowa i cyfry, które oznaczają: charakterystyka miejsca, napotkane gatunki, procent pokrycia przez nie powierzchni, cechy towarzyskości... Do plastikowych woreczków zbierali okazy, do słoików i buteleczek próbki piasku i wody. Tymczasem fotografowie wykonywali kolejne zdjęcia płątów roślinnych, skupisk poszczególnych gatunków, poszczególnych odosobnionych egzemplarzy roślin kwiatowych czy glonów.

Po zakończeniu takiego zdjęcia szalupy podnosiły kotwice i pchane



Kolejno od lewej: ostatnie przygotowania przed zanurzeniem nurka. Odkręca się zawór powietrzny i sprawdza szczelność maski. Mgr. Pancerówna wylewa wodę, która przedostała się do wnętrza ochronnego ubioru z gumy piankowej. Doc. Jan Kornaś sfotografowany na dnie morza podczas zbierania okazów roślinności dennej.



Piękne okazy zielonych glonów morskich, uczeplonych do spoczywających na dnie kamieni. Poniżej: piaszczyste dno porośnięte na pół przezroczystymi glonami. Po wyjęciu z wody w ręku zostaje tylko mały zielony kłaczek.

siłą żagli czy mięśni wioślarzy przepływały na miejsce następnego nurkowania.

W sumie wykonano takich zdjęć 83, nie licząc oczywiście obserwacji i badań uzupełniających, dokonywanych zazwyczaj drogą nurkowania wprost z brzegu. Te zajęcia uchodziły za najprzyjemniejsze. Gdy się pływa oddychając przez rurkę, twarz chroniona maską zanurzona jest bez przerwy w wodzie. Widać wtedy wszystko na dnie z niezwykłą ostrością. Wypatrzysz coś ciekawego, spływa nurek swobodnie i cichutko na to miejsce, pozostając tak długo, póki starczy oddechu.

Wieczorem w kwaterze „sopockiej” wywoływali filmy, naprawiali kamery, a K. Pielak mozolnie latał sfałtgowane ubiory piankowe. W głębszych warstwach woda jest znacznie zimniejsza i botanicy nie wytrzymałoby długo bez tych „strojów”. W kwaterze „krakowiaków” segregowano tymczasem zbiory. Poszczególne okazy przechodziły przez oględziny mikroskopowe. Jedne z nich zasuszano do zielników, inne konserwowano w formalinie. Zgromadzone setki egzemplarzy przejdą przez „opracowanie” laboratoryjne w Krakowie. Notatki przenoszono z tabliczek do brulionów.

Oczywiście wybór miejsc nurkowania i dokonywania „zdjęć fitosocjologicznych” odbywał się według pewnego planu. Na szczegółowej mapie morskiej doc. Kornaś wspólnie z W. Zubrzyckim wykreślili linie, wzdłuż których następowało potem badanie środowisk roślinnych po obu stronach mierzei, w różnych warunkach naturalnych. W każdym takim profilu głębokość zdjęć zwiększała się od zera przy brzegu, do dziesięciu metrów w stronę otwartego morza, a do siedmiu metrów w głębi zatoki.





Po prawej:
mgr. Pancerówna uzupełnia zapiski w podwodnym notesie.



Po lewej: inż. Wawryniewicz wraca spod wody by założyć nową taśmę do kamery filmowej.

W sumie wykonane zdjęcia pozwolą na wykreślenie pierwszej w historii nauki mapy środowisk roślinnych dna Zatoki Puckiej. Jest to wynik pierwszorzędny, choć ograniczony skromnością środków do niewielkiego terytorium. Tego typu badania i na Zachodzie pierwsze dopiero stawiają kroki. Tylko Francuzi wyprzedzili nas dotychczas w tej dziedzinie. Niedawno młody botanik Molinier ogłosił tam mapę zbiorowisk roślinności podwodnej Morza Śródziemnego, a asystent Instytutu Oceanograficznego Sorbony, Ernst — mapę roślinności Kanału La Manche. Trzeba jednak pamiętać, że pierwszeństwa w samym nurkowaniu, jako metodzie badań botanicznych nikt nam już nie odbierze, bowiem rozpoczęli je jeszcze w 1936 roku dwaj krakowscy uczeni, prof. Wojtusiak i Bursa.

Jakiś czas potrwa jeszcze opraco-

wanie materiałów uzyskanych podczas obozu rewskiego. Może już na wiosnę ukaże się praca doc. Kornasia, ilustrowana fotografiami W. Zubrzyckiego, i owa mapa, tak potrzebna dalszym badaczom dna Bałtyku.

Bezrobotni rybacy siedzą godzinami obok kołowrotu, którym wyciąga się łodzie na brzeg. Pałają fajki, zażywają tabakę i patrzą na nurków, którzy z tej odległości są ledwie widoczni. Czasem błysnie słońce, odbite od mokrej powierzchni aqualungu.

W interpretacji prostaczków każda ludzka działalność musi mieć praktyczne znaczenie. Co wyniknie dla Rewy, która jest przecież środkiem świata, z tej podwodnej zabawy? Kto przysłał tych młodych ludzi, którzy teraz godzinami moczą się w wodzie? Może władze rybackie, może, nawet sam Urząd Morski? Zapewne nie wyniknie nic dobrego. Wiekami składa-

jąca się mądrość życiowa, ostrożny pesymizm, każe łączyć owe badania naukowe z rezerwatem rybnym, którego żółtoczarne boje rozciągają zakaz połowów od Beki do Ostionina. Może powiększą ten rezerwat? Może. A może nawet wogóle zakazą połowu ryb w pozostałej części zatoki.

Wśród rozległych Łąk Podmorskich roją się ryby. Drzemią na dnie flądry, przemykają się w gęstwinie łososie i szczupaki, na ławicach omulików żerują węgorze. W nagranych wodach przybrzeżnych śmigają olbrzymie stada cert. Te łąki, to naturalny schron dla wielu gatunków, miejsce tarlisk i składania ikry, basen hodowlany narybku. Dlatego rezerwat rybny, za taką krzywdę poczytywany przez rewskich rybaków, jest racjonalnym i koniecznym zakazem. Jego skutki dadzą o sobie znać dopiero za lat kilka czy kilkanaście nawet. Trudno nadrobić to, co się psuło przez stulecia.

Wyniki rewskiej ekspedycji PAN nie mają natychmiastowego praktycznego znaczenia. Ale nie wiemy, jak praca doc. Kornasia będzie wykorzystana przez ichtiologów, przez Instytut Rybołówstwa. Może rzeczywiście powiększony zostanie rezerwat rybny, a może przeniosą go na inne, właściwsze miejsce? Może te wyniki przyczynią się pośrednio do poprawienia rybności Bałtyku, a rewscy rybacy nie będą już musieli szukać innej pracy, jak ta, do której Kaszubi przywykli od wieków. Będą łowili ryby.

PRZEMYSŁAW BURCHARD



Piękny okaz morskichy na dnie Bałtyku.

BUKOWSKI MARCIN, ZŁAT MIECZYSEAW. — Ratusz wrocławski. (Wyd. 1. Okł. i obwol. Stanisław Andrzej Cyrano). — Wrocław 1958. Zakład im. Ossolińskich, cm 30×21, s. 264, 4 nlb., tabl. 102, pl. 5 i w tekście, ilustr., bibliogr. s. 182—3, Rzs., Zsf. Zawiera: Bukowski M.: Ratusz wrocławski na tle urbanistycznego rozwoju miasta. — Złat M.: Rzeźbiarska i malarska dekoracja ratusza we Wrocławiu. Zl 76.

KAMIŃSKA JANINA, NAHLIK ADAM. Włókiennictwo gdańskie w X—XIII wieku. (Wyd. 1). Łódź 1958. Zakład Narodowy im. Ossolińskich Wrocław. cm 24×17 s. 261, 3 nlb., tabl. 4, tab. 2, ilustr., pl. Sokrasc izloz., Rzs., bibliogr. s. 249—53.

Łódzkie Towarzystwo Naukowe. — Praca Wydziału II, nr. 24. — Acta Archeologica Universitatis Lodzianensis, nr. 6. Zl 50.

MROZIŃSKA STANISŁAWA Teatr wśród ruin Warszawy. Wspomnienia i dokumenty z lat 1944—1945. (Wyd. 1. Okł. Władysław Brykczynski. — Warszawa) 1958. „Czytelnik” cm 19,5, 12,5 s. 252,4 nlb., ilustr., portr. Zl 23.



NOTATKI BIBLIOGRAFICZNE

PAMIĘTNIK jubileuszowy. W 50 rocznicę założenia Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego. (1906 — 1956. Tekst oprac. Józef Kołodziejczyk, Adam Bratysław Słomczyński, Kazimierz Staszewski. Okł. Zofia Rutkowska). — Warszawa 1958 (PTTK) Komisja Wydawnictw Propagandowych. cm 23,5×17, s. 77, 2 nlb., tabl. 18 w tym portr. Polskie Towarzystwo Turystyczno - Krajoznawcze.

PĘCHERSKI ZYGMUNT. — Konin, Stupca, Koło. (Okł. Andrzej Radziejowski). — Warszawa 1958. „Sport i Turystyka” cm 16,5×11,5 s. 125, 2 nlb., mapy. Zl 6.

SOKOŁOWSKI JAN [BOGUMIŁ]. Ptaki ziem polskich. T. 1. (Rys. autora. Obwol. i okł. Wiesław Kosiński). — Warszawa 1958. Państw. Wyd. Naukowe. cm 26×40 s. 441,1 nlb., tabl. 10. M. in.: Historia ornitologii w Polsce. [Przegląd bibliogr.]. Zl 80.

TAZIEFF HAROUN. Kratery w płomieniach. (Wyd. 1). Przetłum. z franc. Tadeusz Żeromski. — Warszawa 1958. „Nasza Księgarnia” cm 20×14 s. 228, 3 nlb., tabl. 16, rys., mapy. Tyt. oryg.: Crateres en feu”. Zl 12,50.

„ZARANIE ŚLĄSKIE”. Kwartalnik regionalny. Organ Śląskiego Instytutu Naukowego w Katowicach. Wyd. 1. Kom. red. Ludwik Brożek, Zdzisław Hierowski, Stanisław Ziemia. — Katowice 1957: 20, z. 1/2 lipiec—grudzień. cm 24×17, s. 142, 1 nlb., tabl. 2, portr. 6-1 w tekście, ilustr.

Czasopismo założone w 1907 r., wznowione po raz drugi po wojnie. Poprzedni okres 1956: 16 nr 1, ostatni przed przerwą 1948 — 19, z. 2.



DROBIAZGI

Na piaszczystej łasce zagradzającej ujście Wisły osiedliło się kilka fok. Żyją one tam wśród licznych mew i czapli.

Jeden z rybaków wyciągnął w sieciach razem z węgorzami dwie foki. Wypuścił następnie zwierzęta na wolność, ale od tej pory foki zaprzyjaźniły się z rybakami. Spokojnie wylegają się na piasku, gdy ci się kręcą po brzegu. Podpływają też do łodzi wyruszających na połowy. Obliczono, że rodzina fok składa się z 4 osobników dorosłych i dwojga „dzieci”.

Zakłady porcelany w Cmielowie wyprodukowały ostatnio kilkadziesiąt sztuk porcelanowych figurek — regionalnych typów Mazowsza. Figurki cieszyły się dużym powodzeniem na Targach Poznańskich.

W Tatrach przystąpiono do organizowania społecznej straży ochrony przyrody. W szeregi straży zgłasza się wiele osób. Numerowane odznaki z podobizną żubra i legitymacje, które uprawniają do interweniowania w wypadkach niszczenia roślinności, zwierząt i szlaków tatrzańskich otrzymało już kilkudziesięciu strażników.

Bardzo rzadko kwitnący w naszym klimacie tulipanowiec liliodendron zakwitł w tym roku w parku w Kozienicach (woj. kieleckie). Trzydziestometrowe drzewo pokryło się przepięknym kwiatem o kształcie tulipanów w kolorze pomarańczowym. Ojczyzną tulipanowca są niektóre obszary Europy południowej. W województwie kieleckim ten rzadki okaz spotkać jeszcze można w Pińczowie i Solcu nad Wisłą.

Oddział PTTK przy ZBM w Nowej Hucie pierwszy w Polsce przystąpił do wykonania turystycznych łodzi — canoe według oryginalnych wzorów kanadyjskich. Zaletą łodzi jest szybkość i zwrotność. Przewiduje się obecnie wybudowanie 4 takich łodzi i zorganizowanie nimi spływu Wisłą na

Jeziora Mazurskie. O ile spływ na Jeziora Mazurskie uda się i canoe zdadzą egzamin, zapaleni miłośnicy sportów wodnych z

PTTK mają zamiar zorganizować wyprawę zagraniczną.

Wojewódzka Rada

POWSTAŃCZE STATKI I UŁAŃSKIE ROGATYWKI

PRÓBY wspierania obu powstań polskich od strony morza to rzecz na ogół znana. Weszły one do historii jako śmiałe lecz skazane właściwie z góry na niepowodzenie improwizacje, stanowiące dziś ciekawostkę tego okresu naszych dziejów. Jak jednak wyglądały statki, na których usiłowano przerzucić materiały wojenne i ludzi do walczącego kraju? Okazuje się że ustalenie tych historyczno-technicznych danych natrafia na poważne trudności. I mimo że działo się to stosunkowo niedawno, w połowie ubiegłego wieku, nawet nie wiemy już dziś napewno jak nazywały się niektóre statki powstańców. Tę lukę w naszej wiedzy historycznej uzupełnia częściowo artykuł Mieczysława Boczara pt. „Statki powstańcze wypraw morskich w latach 1830/31 i 1863/64”, zamieszczony w trzecim numerze ARSENAŁU^{*)}. Autor wykorzystał w swych poszukiwaniach tzw. rejestr Lloyd'a, a także archiwa brytyjskich stoczni, z których wyszły wszystkie pływające jednostki powstańców. Co więcej, zamieszcza krótką historię wyprawy Łapińskiego w roku 1863 na statku „Ward Jackson” widzianą oczyma Anglika.

Najobszerniejszym artykułem ostatniego kwartalnika Koła Miłośników Dawnej Broni i Barwy jest szkic Jana Bendy „O rogatywkach i czapkach ułańskich”. Dobrze jeszcze mamy w pamięci powojenne dyskusje na temat noszenia rogatywki w naszej armii. Przywykliśmy popularnie uważać rogatywkę jako charakterystyczne, typowo polskie nakrycie głowy. To właśnie przeciw rogatywce stała się w schematycznych karykaturach Mrożka symbolem naszej nacji. Tymczasem, jak słusznie stwierdza na wstępie Jan Benda „rogatywka była i jest jeszcze noszoną przez ludy Azji i Europy w różnych formach i barwach, często na niestykających się ze sobą obszarach. Używali więc takiego nakrycia głowy Mongołowie, potem Kalmuci i Czeremysy, nosili junacy tatarscy na Krymie. Do dziś należy do ubioru Lapończyków. Znali ją Łużycanie i Flamandowie, była też do połowy wieku XIX ludowym ubiorem u Wielko- i Małorusów...”

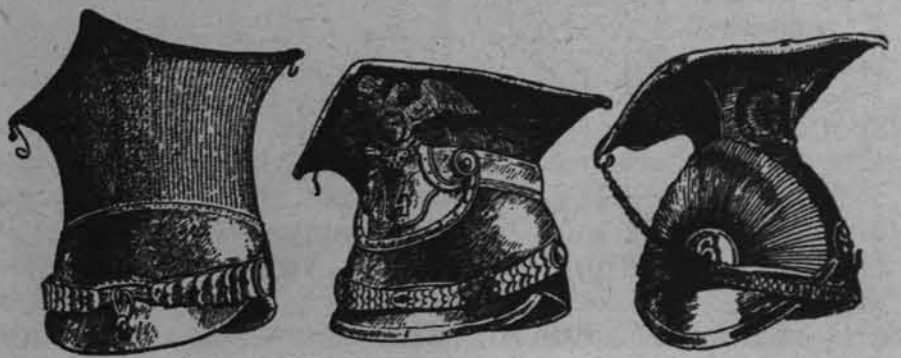
Autor artykułu pozwala nam śledzić ewolucję rogatywek w wojsku polskim dawnej Rzeczypospolitej, kościuszkowskiej insurekcji, w okresie napoleońskim, w Królestwie Kongresowym i w czasie powstań. Co ciekawsze, rogatywkę spopularyzowali w dziewiętnastym wieku do tego stopnia polscy „żołnierze-tulacze” że używały jej niektóre formacje armii rosyjskiej, austriackiej, francuskiej i angielskiej. Oczywiście z biegiem lat rogatywka zmieniała kształty i rozmiary co doskonale ilustrują precyzyjne rysunki Stanisława Kobielskiego.

Swój interesujący szkic kończy J. Benda słowami: „Artykuł niniejszy nie wyczerpuje oczywiście poruszonych

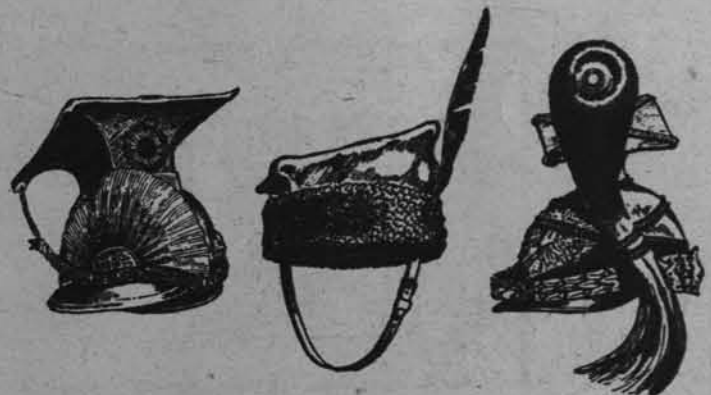
^{*)} ARSENAŁ, to kwartalnik Koła Miłośników Dawnej Broni i Barwy przy Muzeum Narodowym w Krakowie. Koszta wydawania pokrywane są całkowicie ze składek członkowskich Koła, jedynego w Polsce towarzystwa naukowego zajmującego się dziejami naszej wojskowości. Grupa ono miłośników dawnych militarów z całego kraju. Liczba członków Koła przekroczyła sto osób i stale się powiększa. Omówienie pierwszego numeru ARSENAŁU zamieściliśmy w tegorocznym kwietniowym numerze ZIEMI. Tu przypomniemy adres sekretariatu Koła: Kraków ul. Siemiradzkiego 17/3, oraz adres redakcji ARSENAŁU: Kraków, Muzeum Narodowe ul. Manifestu Lipcowego 12.



Od lewej: czapka oficera 3 pułku ułanów Królestwa Kongresowego, lwowskiej konnej gwardii narodowej z r. 1848 i ułana rosyjskiego z r. 1809.



Od lewej: czapka ułana bawarskiego z r. 1813, oficera 14 pułku ułanów rosyjskich z poł. XIX w. i czapka z 6 pułku lansjerów francuskich z 2 poł. XIX w.



Od lewej: czapka oficera lansjerów gwardii Napoleona III, tzw. „tatarka” ułanów austriackich z 1866 i czapka oficera ułanów austriackich z przełomu XIX i XX w. Wszystkie rysunki St. Kobielskiego.

nym w nim zagadnień. Ma on bowiem tylko na celu przypomnienie munduroznawcom i etnografom pewnych interesujących tematów, stanowiących dotąd lukę w naszym piśmiennictwie”. Istotnie, zagadnienie rogatywki jako „narodowego” nakrycia głowy wykracza poza rozważania miłośników dawnych militarów. Niewątpliwie sporo dodatkowego materiału dostarczyłaby analiza rogatywek używanych w cywilnym stroju ludowym, zarówno wiejskim, jak i małomiasteczkowym. Konieczne byłoby tu również uwzględnienie

czapek noszonych przez dawną szlachtę polską i dworską służbę.

W dziale „miscellanea” omawianego numeru ARSENAŁU na uwagę zasługuje przede wszystkim krótki artykuł Tadeusza Iskrzyckiego o pierwszym albumie wojsk polskich Księstwa Warszawskiego opracowanym w roku 1811 przez Michała Stachowicza. Jest to pierwsza współcześnie wydana publikacja o wojsku polskim w epoce napoleońskiej. Ze względu na swój źródłowy charakter ze wszech miar zasługuje na wznowienie. (1)

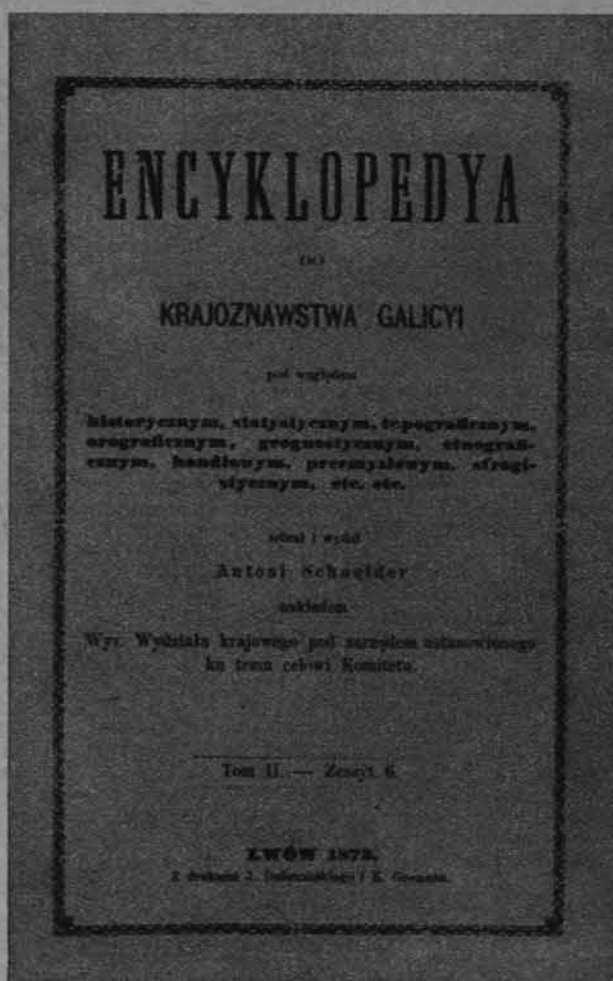




CZY DO-STRZEGLIŚCIE zmianę w numeracji „Ziemi”?

Spójrzcie na stronę pierwszą i trzecią. Po cyfrze rzymskiej oznaczającej rok wydania wznowionej „Ziemi” dodaliśmy liczbę XLIV. Nawiązujemy w ten sposób do numeracji pisma, które pod tym samym tytułem wychodziło od roku 1910, jako organ b. Towarzystwa Krajoznawczego. Świadectwem łączności z tradycją dawnego krajoznawstwa będzie też dział „Stara Ziemia”, który niebawem otworzymy. Będziemy w nim zamieszczać fragmenty tekstów „Ziemi” sprzed pół wieku.

ENCYKLOPEDIA KRAJOZNAWCZA



Niedawno udało nam się zakupić 6 zeszytów interesującego dzieła, które pod nazwą „Encyklopedia do krajoznawstwa Galicyi” zaczęto wydawać we Lwowie w roku 1868. Jest to rodzaj słownika geograficznego, wzbogaconego o hasła z zakresu historii sztuki, etnografii, historii kul-

tury — czyli właśnie krajoznawstwa — czyli właśnie krajoznawstwa encyklopedia w sensie zbliżonym do dzisiejszej interpretacji pojęcia „krajoznawstwo”. Zakres ten objaśnia zresztą bardzo wyraźnie sam Antoni Schneider, który encyklopedię „zebrał i wydał”. Dzieło to uwzględ-

MITY XX WIEKU

W swojej mitologii, jaką prze-ważnie stanowią zachowane w naszym kraju tradycje epoki napoleońskiej, wybitną rolę odgrywają „kwatery cesarza”. Niewiele by można znaleźć miasteczek, gdzie mieszkańcy nie pokazaliby z dumą jakieś rudery, w której rzekomo miał nocować cesarz Francuzów podczas odwrotu z Rosji. Gdyby wierzyć tym opowiadaniom, przejazd Napoleona przez Polskę trwałby całe miesiące, a trasa zakreślałaby przedziwne zyg-zaki i pętle. Można by wprowadzić odwrotoryzły rzeczywistą podróż cesarza, lecz czy warto odbierać złudzenia prostodusznym lokalnym patriotom?

Ostatnia wojna pozostawiła nam mity podobnej nieco natury, mianowicie liczne legendy o prawdziwych i rzekomych „kwaterach Hitlera”. Rzecz szczególna — ich barwność i siła wzrasta w miarę upływu czasu, dzielącego nas od zakończenia wojny. To tu, to tam urząda się „wyprawy” w podziemia betonowych bunkrów, coraz inne pisma ogłaszają na ten temat różne rewelacje. Poszczególne obiekty zyskują sezonową „sławę”, póki nie zaćmi ich roz-głos nowych, „odkrytych” przez dziennikarzy czy turystów. Fortyfikacje lub ich szczątki stają się w ten sposób rzeczywiście silną atrakcją krajoznawczą. Frekwencja zwiedzających jest nieraz tak znaczna, że pewien dziennikarz projektował nawet wykorzystanie bunkrów w okolicy Kętrzyna na pomieszczenie restauracji, kawiarni i sal noclegowych dla

turystów. W gruncie rzeczy same obiekty są mało zajmujące. Beton, ciemność, wilgoć, brud. Wyobraźnię zwiedzających pobudzają głównie związane z tymi miejscami legendy.

Legendy? Czy wiadomości o „kwaterach Hitlera” nie są sprawdzone? Przecież zbudowano je i użytkowano za pamięci naszego pokolenia. Otóż, jak się wydaje, nikt nie zadał sobie trudu zbadania prawdziwości opowiadań wieśniaków, którzy „na własne oczy” widzieli kręcących się po okolicy Hitlera pod ręką z Mussolinim. Wiadomości te są drukowane bezkrytycznie przez doskonałe skład-iną czasopisma. Lokalni patrioci w kilku różnych miejscach opowiadają, że w „ich” bunkrach miał się jakoby odbyć zamach na Hitlera w r. 1944, wszędzie są świadkowie, którzy sły-szeli potężny wybuch odpowiedniego dnia. Interpretacja „rzeczowa” tych swoistych zabytków — fortyfikacji sprowadza się zazwyczaj do tego, że Polanie każdy większy kawałek betonu muszą tłumaczyć od razu jako „kwaterę” wodza III Rzeszy. Do rzę-du „kwater Hitlera” zakwalifikowali też dwaj reporterzy seryjny schron betonowy w Stępinie w okolicy Strzy-żowa. W rzeczywistości natomiast Niemcy identyczne budowle wznosili dziesiątkami, stanowiły one ukrycie dla pociągów sztabów szczebla armii lub grupy armii. Obiekty takie poznali szczegółowo krakowscy nurkowie-grotolazi badając je w r. 1956 na zlecenie wojska, przed oddaniem ich do użytku instytucjom cywilnym. Przykładów można mnożyć wiele.

Czy jest jednak o co kruszyć kopię? W gruncie rzeczy, czy nie wszystko jedno, co bają turystom przewodnicy i co drukuje prasa w sezonie ogórkowym? Wydaje mi się, że nie. Między staroświeckimi legen-dami romantycznej epoki napoleońskiej a „mitem XX wieku” jest ol-brzymia różnica. Sądzę, iż należy zachować ostrożność, kolportując sławę dyktatora Wielkich Niemiec, bo jest to ponad wszelką wątpliwość — zła sława. Rozgłos zaś jego „działal-ności” jest dziś jeszcze dostatecznie duży, bez naszego pomnażania. Dla-tego, dbając o atrakcje krajoznawcze, przyciągające w naszą okolicę tury-stów — pozostawiamy jednak beto-nowym „zabytkom” ich właściwą, nie wyolbrzymioną wartość. (PE).

starym, statystycznym, topogra-ficznym, orograficznym, geognostycz-nym, etnograficznym, handlowym, przemysłowym, sfragistycznym etc. etc”.

Ostatni z posiadanych zeszytów został wydany w roku 1874 i ozna-czony jest „Tom II — zeszyt 8”. Ostatnie zaś jego hasło to „Balin”, a więc dopiero początek drugiej li-tery alfabety. Było to więc dzieło zakrojone na wielką skalę, skoro ów zeszyt kończy się na 487 stronie.

Różne notatki i wzmianki na okładkach kolejnych zeszytów po-zwalają się zorientować, że „Ency-klopedię” początkowo wydawał sam autor, później wychodziło ono „pod opieką” Wys. Wydziału Krajowego pod zarządem ustanowionego ku temu celowi Komitetu”, a wreszcie i nakładem tej instytucji. Poszcze-gólne zeszyty były rozprowadzane w drodze prenumeraty.

Nie wypowiadając się na razie co do samej wartości merytorycznej „Encyklopedii”, pragnęlibyśmy roz-strzygnąć z Czytelnikami następujące problemy:

Historia „Encyklopedii”

Warto zbadać i ogłosić szczegóły tego wydawnictwa. Prawdopodobnie jest to pierwsze w języku polskim obszerne dzieło krajoznawcze sensu strictissimo. Kto był jego inicjato-rem? Co to za „Komitet” opiekował się encyklopedią? Czyżby to była pierwsza na ziemiach polskich orga-nizacja krajoznawcza? Czy ukazała

się całość dzieła, czy tylko część? Apelujemy do Czytelników o pomoc w rozwiązaniu tych zagadnień.

Dzieje krajoznawstwa

Nie spopularyzowano dotychczas ani nie zbadano należycie historii ruchu krajoznawczego w b. zaborach austriackim i pruskim. Historyczne wspomnienia i jubileuszowe obchody — to głównie dzieje Polskiego To-warzystwa Krajoznawczego, założo-nego w r. 1906 w tzw. „Królestwie”. Tymczasem wiadomo, że krajoznaw-stwo, ruch bardzo charakterystyczny dla prądów umysłowych Europy po tzw. „Wiośnie Ludów”, znacznie wcześniej dotarło do Poznańskiego i Galicji niż do b. zaboru rosyjskie-go. Tymczasem o działalności krajo-znawczej w tamtych dwu zaborach wiemy bardzo mało. Gwoli zapelnienia luk w historii społecznej — chętnie opublikujemy materiały i wspo-mnienia z tego zakresu. Prosimy o nadsyłanie oryginalnych wydawnictw, dokumentów, listów etc. Gwarantujemy zwrot lub zakup — stosownie do życzenia.

Chętnie opublikujemy też nie znane fakty z dziejów krajoznaw-stwa w b. zaborze rosyjskim. Podkreślamy „nie znane” dlatego, po-nieważ dzieje wybitnie zasłużonego Polskiego Towarzystwa Krajoznaw-czego doczekały się już szeregu za-równo poważnych jak i popularnych opracowań. Chcielibyśmy więc w miarę możliwości rozszerzyć znajo-mość tych dziejów o nowe przy-czynki.

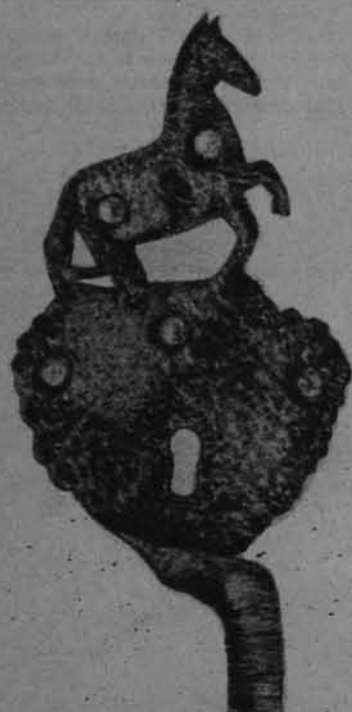
WYKŁADKA Z KONIKIEM



Ciekawym przykładem dawnej ludowej ślusarszczyzny jest okucie zamku w drzwiach starej chaty we wsi Charcia Buda, (pow. ostrołęcki). Osobliwość stanowi tu w pierwszym rzędzie wykładka wycięta w kształcie skaczącego konia, odznaczająca się estetyką i prostotą rysunku, świadcząca o dużym wyrobieniu artystycznym dawnego rzemieślnika. Również skobel, wycięty ozdobnie, pokrywa ryty ornament roślinny o motywie liści.

Dom reprezentuje dobry przykład dawnej chałupy kurpiowskiej o ozdobnym szczycie, obramieniach okien i skromnej ornamentyce naproza wejścia.

T. Kwaśniewski, Wrocław



WIATRAKI pod Archangielskiem

NA terenach północnej Rosji zachowało się budownictwo drewniane, stanowiące do dziś niemal wyłączną zabudowę w wielu pomniejszych miejscowościach. Typowe dla tego budownictwa jest powszechne stosowanie konstrukcji zrębowej. Stosowanie szczególnie silnej konstrukcji oraz prawie wyłącznie doskonałego drewna pozwala na przetrwanie tego rodzaju budownictwa przez dłuższy czas nawet w stosunkowo surowym klimacie.

Poszczególne budowle nie odznaczają się ani lekkością, ani wymyślną formą. Budynki szeroko rozsiadłe, nakryte przeważnie dwuspadowymi dachami o niewielkim nachyleniu, odznaczają się skromną dekoracją ciesielską, w niektórych motywach zbliżoną do zdobnictwa spotykanego w Polsce.

Natomiast na szczególną uwagę zasługują wiatraki. Niezwykła ciężkość poszczególnych elementów konstrukcji, powiązana z lekką formą właściwą wiatrakom, nadaje im swoisty, niecodzienny charakter: masywne zrębowe podstawy, zrębowe młynnice i potężne cztero- lub częściej sześcioramienne skrzydła, sprawiają na fotografii wrażenie jakichś nadnaturalnej wielkości zabawek.

Rosjanie rozróżniają wiatraki „holenderskie” i „rosyjskie”, chociaż poszczególne typy wykazują różne odchylenia w stosunku do swych odpowiedników z Europy Środkowej. I tak, niezwykle ciekawie przedstawia się wiatrak, wzniesiony na obszernym pomoście drewnianym, odpowiednio ustawionym stosownie do wiejącego wiatru. Z kolei bardzo malowniczo wyglądają wiatraki, odpowiadające w swej zasadzie naszym „koziakom”: oto na bardzo wysokiej zrębowej „piramidzie” w środku której znajduje się potężny, wbity w ziemię słup, obraca się młynnica z mechanizmem, oczywiście całkowicie drewnianym. W niektórych wsiach liczba wiatraków sięga od trzech do trzydziestu.

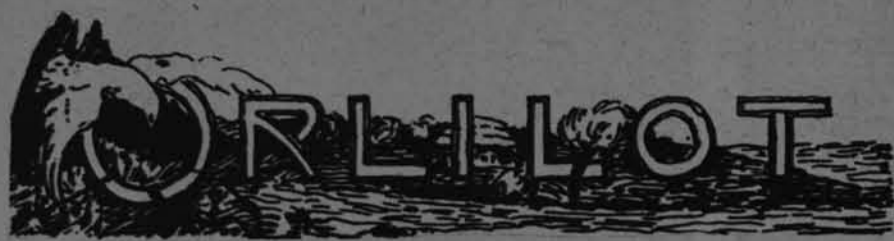
Budownictwo drewniane północnych terenów Rosji było do niedawna stosunkowo mało przebadane i nielicznie publikowane. Dopiero w ostatnich latach Instytut Historii Sztuki Akademii Nauk ZSRR zorganizował szereg ekspedycji naukowych, poświęconych studiom nad tym budownictwem na terenach okręgu archangielskiego, jako też Karelo-Fińskiej Republiki Radzieckiej. Wyprawy te przyniosły bogate rezultaty naukowe, a ich bezpośredni dorobek opublikowano w szeregu książek.

(mk)

Fotografie pochodzą z książki: J. W. Makowieckij, Pamiatniki narodowo-zodczestwa russkowo siewiera, Moskwa 1955.



DZIAŁ MŁODYCH KRAJOZNAWCÓW



WĘDROWCOM SKALNEGO PODZIEMIA



MYLIŁBY SIĘ ten, kto by sądził że ostatnie nieszczęśliwe wypadki w jaskiniach tatrzańskich odstraszą amatorów podziemnej turystyki. W rzeczywistości hałas jaki wokół tych wydarzeń wzniecono (nie dbając na ogół o rzetelność informacji) odniósł wręcz odwrotny skutek. Oto teraz w każdym niemal większym skupisku turystycznym pojawiają się amatorzy zwiedzania jaskiń. Jednak tak, jak nie nazywamy każdego kto wspina się na skały taternikiem — tak i każdego kto skacze do wody — (choćby bardzo głębokiej) pływakiem. Absolutnie też nie można utożsamiać wszystkich zapuszczających się w głąb jaskiń — z grotolazami. Nawet choćby się za takich podawali.

W niedzielne wieczory w pociągach jadących do Krakowa można spostrzec grupki młodych ludzi umorusanych gliną, dumnie dyndających karbidówkami, obwiązanych czymś co zapewne w mniemaniu tych „grotolazów” ma być liną. Już sam sprzęt i ubiór wzbudzi poważne zastrzeżenia u człowieka choć trochę orientującego się w nowoczesnej technice pokonywania trudności taternickich w jaskiniach. Jeszcze większy niepokój wywołają rozmowy tych chłopców, jeśli się przechwalają. Oto np. grupka kilkunastu harcerzy wraca z jaskini Grzmiaćki pod Krakowem. Opuszczali się do tej dzwonoawatej, 12-metrowej studni na pojedynczej linie zjazdowej, oczywiście bez żadnej asekuracji. Liny takiej używa się zawsze podwójnie, gdyż tylko tak wytrzyma ona może ciężar szarpnięcia ludzkiego ciała. Czy znają technikę zjazdu na linie? Nie, nie znają. Tak jakoś się zesunęli... A jak wyszli? Wyciągnęli ich po jednym na

tej samej linie koledzy! Wszystko się udało, wobec tego na następną niedzielę szykują „poważniejszą wyprawę”...

Czy któryś z tych chłopców zdecydowałby się opuścić w ten sam nieudolny sposób z trzeciego piętra kamienicy, mając pod sobą uliczny bruk? Sądzę że nie. A przecież byłoby to i tak bezpieczniejsze przedsięwzięcie niż nieumiejętny zjazd na zbyt cienkiej linie z tyłuż właśnie metrów w głąb jaskini. Jeżeli ktoś spadnie na kamieniste dno jaskini — ratunek nie prędko doń dotrze. Będzie długo leżał w wilgotnej ciemności podczas gdy jego przerażeni koledzy pobiegną po pomoc. Jeśli ktoś będzie na tyle lekkomyślny że wybierze się do jaskini samotnie, wówczas pewnie nikt nie usłyszy wołania z głębi grotu.

Dużo niebezpieczniejsze od jaskiń Jury Krakowskiej są grotty tatrzańskie. Tu mamy już do czynienia z całymi seriami podziemnych studzien,

ścian, kominów i szczelin. Z labiryntem krętych korytarzy, ciasnych jak rury. Z systemami lodowatych jezior i błotnistych rynien, oślizgłych uskoków i progów o przewieszonych, ruchomych głazach. Czasem łatwo jest posuwać się w głąb tych jaskiń, ale łatwość to wielce zdradliwa. W pewnym momencie niedoświadczony turysta pragnie zawrócić i z przerażeniem spostrzega że znalazł się w pułapce. Te same śliskie przewieszki, które z taką łatwością przebywał zsuwając się w dół, teraz piętrzą mu się nad głową jako zapory nie do przebycia. Daremnie próbuje wyjść po zwisającej linie, która wydawała się niezawodnym środkiem odwrotu. Mokry, zagliniony szal przecina dłoń do krwi a stopy napróżno szukają stopni na ociekających wodą gzymsach skalnych.

Nie chodzić więc do tych wielkich i trudnych jaskiń, których zwiedzenie wymaga doskonałego wykształcenia taternickiego i użycia specjalnego sprzętu — lin, drabin sznurowych, pływaków etc. Tym bardziej, że takich jaskiń jest zaledwie kilka na ogólną liczbę tysiąca polskich grot.

Macie setki mniejszych i stosunkowo łatwych grot, rozsianych głównie w Jurze, często przy szlakach turystycznych. Ale i tam trzeba zachować ostrożność. Uważajcie na głębokie studnie, tzw. aweny. Trzymajcie się zdaleka od ich zdradliwych, obsuwających się krawędzi. Zachowajcie podstawowe zasady turystycznego

zwiedzania jaskiń, o których zaraz powiemy.

Ruszając do jaskini pomyśl najpierw o tym jak się ubierzesz. Pamiętaj że w jaskiniach Polski cały rok utrzymuje się temperatura zaledwie + 4 stopnie. Aby uniknąć wilgotnego chłodu i przemoczenia (ściany grotu ociekają bez przerwy wodą i pokrywa je rzadka, błotnista maź) musisz włożyć komplet ciepłej bielizny i ubranie mniej więcej takie jakie wdziewasz zimą wybierając się na wycieczkę. Na to wszystko wkładasz kombinezon, który ochroni cię przynajmniej częściowo przed zabrudzeniem. Zwiedzanie jaskiń w trampkach absolutnie odradzamy. Momentalnie nasiąkają lodowatą zimnym błotem, ślizgają się na gliniastym podłożu, i nie można w nich — bez przemoczenia przebywać owych płytkich stawów i kałuż, których tak wiele napotykamy w grotcie. Z tego też względu niezbyt nadają się do turystyki jaskiniowej sznurowane buty. Najwygodniej poruszać się w jaskini w gumowych butach z cholewami. Oczywiście stopa w takim wypadku tkwić musi w ciepłej, najlepiej podwójnej, wełnianej skarpetce. W razie dłuższego nieco pobytu w grotcie dobrze jest mieć rękawice. Hełm w łatwiej dostępnych jaskiniach (a tylko takie przecież bierzemy tu pod uwagę!) wbrew mniemaniom nie jest konieczny potrzebny. Chroni on bowiem głowę grotolaza przed spadającymi kamieniami w czasie zjazdów na linie. Wystarczy więc miękka czapka lub beret.

Niezmiernie ważną częścią ekwipunku w turystyce jaskiniowej jest oczywiście lampa. Najbardziej polecamy tu zwykłą karbidówkę górniczą, pewną, łatwą do naprawy i dającą silne światło. Oczywiście nie możesz zapomnieć o podręcznej reparatorce do lampy, zawierającej zapasowe palniki, małą świeczkę, zapalki i przytkacze. Odradzamy kieszonkowe latarki elektryczne. W panującej tam wilgoci baterie prędko się wyczerpują. Latarka świeci słabym czerwonym światłem i gaśnie. Zawsze winniśmy zabierać na wszelki wypadek świecę, ten prosty ale i najbardziej niezawodny środek oświetlenia.

Na koniec prośba. Pamiętaj, że najpiękniejsze partie jaskiń polskich (zwłaszcza w Jurze) zostały bezpowrotnie stracone. Zniszczyli je zarówno turyści obłupując malownicze stalaktyty i stalagmity, kopiąc sadzą z pochodni i świec po alabastrowych ścianach, jak i zbieracze nacieków wapiennych, którzy sprzedawali kalcyt znajdujący w grotach do hut szkła. Oby w tym smutnym bilansie dewastacji podziemnego świata zabrakło waszego wkładu!

Zobaczcie na zdjęciach z jakim „uzbrojeniem” ruszają do grot krakowscy taternicy jaskiniowi, zwani „grotolazami”. Jeszcze raz ostrzegamy: nie mając sprzętu ani doświadczenia — nie ryzykujcie. (z)

Bakelitowy hełm chroni głowę grotolaza przed spadającymi kamieniami. Na helmie osadzony jest elektryczny reflektor bateryjny.

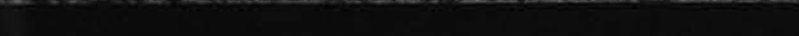




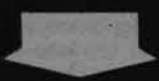
W głąb jaskini zjeżdża się na specjalnych szalowych lub nylonowych linach laternickich. Powrót umożliwiają lekkie drabinki o aluminiowych szczeblach.



Zjazd w głąb jaskini z górniczą lampą karbidową. Dodatkowy sprzęt w przewieszonym przez ramię brezentowym plecaku. Plecak ten jest podłużny, pozbawiony bocznych kieszeni, które utrudniałyby transport ładunku w ciasnych przejściach.



Kuchnia podziemnego obozu. Gotuje się w niej na przymusach. W czasie kilkudniowych biwaków pod ziemią stosuje się starannie dobierane i pakowane racje żywnościowe.



Podczas wielodniowych wypraw w głąb ziemi biwakuje się w specjalnie zbudowanych z drewna, papy lub folii igelitowej schronach.



Transport sprzętu przez jaskiniowe jeziora odbywa się na pneumatycznych łodziach. Jeśli nie jest zbyt głęboko — ludzie przechodzą w gumowych spodniach.



ŚREDNIOWIECZNE WARZELNIE SOLI

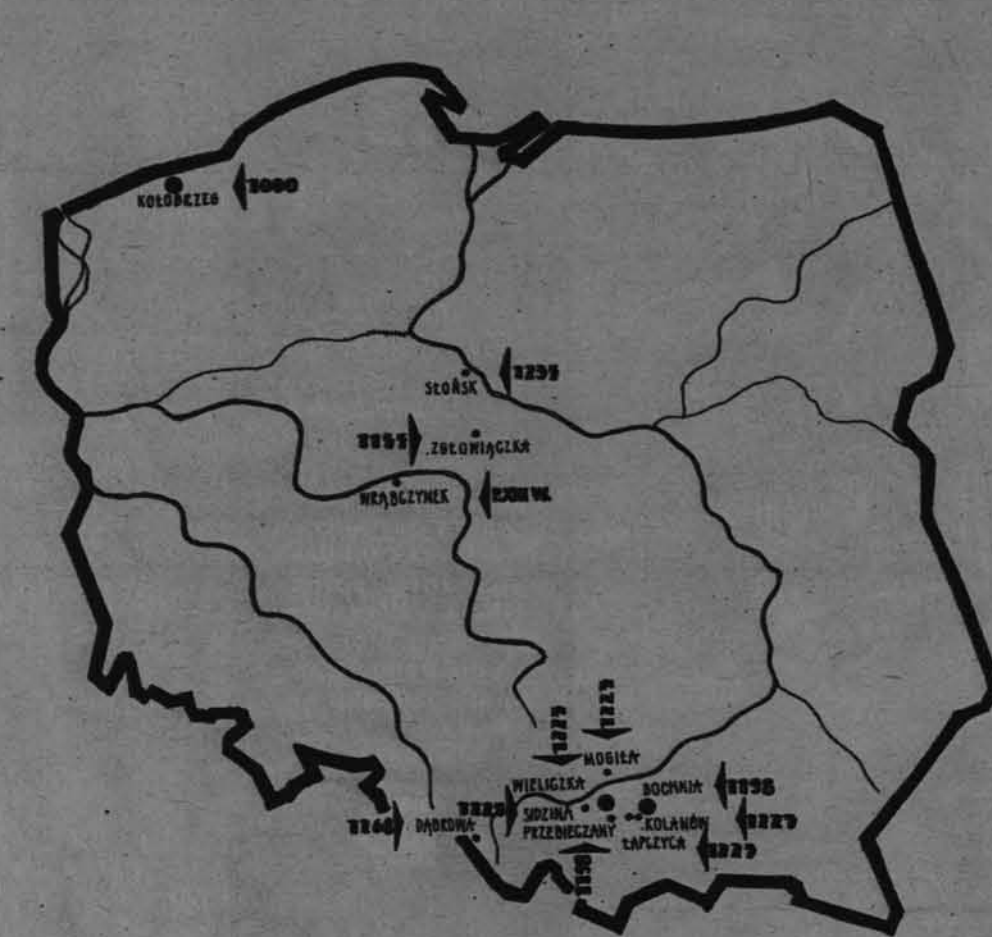
Od pradawnych czasów znane są człowiekowi dwa sposoby uzyskiwania soli: do-
bywanie sposobem górniczym soli kamiennej*) i wywarzanie jej ze słonej wody — morskiej lub pochodzącej ze źródeł słonych.

Terytorium Polski posiadające liczne źródła słone przedstawiało szczególnie dogodny warunki dla rozwoju warzelnictwa. Da się to zwłaszcza powieść o Podkarpaciu, gdzie znamy kilkadziesiąt takich źródeł. Poza tym mamy źródła słone na Pomorzu (m. in. Kołobrzeg — najsilniejsze źródła słone w Polsce), na Kujawach, a także, choć mniej liczne, w Wielkopolsce, na Śląsku, w okolicach Łęczycy i Buska.

Warzelnia w Kołobrzegu znana jest ze źródeł pisanych już około 1000 roku. Pierwszą wiadomość o salinach krakowskich spotykamy w dokumencie legata Idziego z r. 1123/5 zatwierdzającym posiadłość i dochody opactwa tynieckiego. Dokument ten wymienia cztery miejscowości związane z produkcją soli: Sidzinę, Wieliczkę (zwaną „magnum sal”), Łęczycę i Kolanów. Jeżeli przyjmiemy za niektórymi badaczami, że jest on potwierdzeniem nadań kilku władców, m. in. i Bolesława Śmiałego, to możemy przypuścić istnienie warzelnii w tych miejscowościach już w drugiej połowie XI wieku. Z kolei w r. 1136 pojawia się warzelnia soli w Babicy pod Krakowem wymieniona w bulli papieskiej dla arcybiskupstwa gnieźnieńskiego. W r. 1155 wymieniona jest po raz pierwszy warzelnia w Zgłowiączce na Kujawach. Dokument nadający klasztorowi cystersów w Łądzie wielkopolską wieś Wrąbczynek z warzelnii soli nosi datę 1173, jednak specjaliści są zdania, że został on sfalszowany przez klasztor o kilkadziesiąt lat później. Szeroko znana warzelnia w Bochni po raz pierwszy występuje w wycieku posiadłości miechowskiego klasztoru Bożogrobców w r. 1198. W tym samym dokumencie wymieniona jest warzelnia „in Prevenchna” — może Przebieczany? — i we wspomnianej już poprzednio Sidzinie.

Z biegiem czasu napotykamy coraz więcej dokumentów zawierających nadania solne, pojawiają się też nazwy nowych warzelnii. Charakterystyczne jest jednak, że książęta krakowscy dają nadania głównie w Bochni i w Wieliczce, a w innych warzelniach tylko wyjątkowo. Wynikałoby stąd, że jedynie te dwie warzelnie prowadziły produkcję na wielką skalę, pozostałe zaś były zakładami o znaczeniu lokalnym, pracującymi na zaspokojenie potrzeb najbliższej okolicy. Również znaczenie raczej lokalne posiadały warzelnie innych dzielnic, z wyjątkiem warzelnii w Kołobrzegu. Ta, sądząc z ilości nadań, mogłaby konkurować z żupami krakowskimi.

Wspomniane wyżej zjawisko zwiększania się z biegiem czasu ilości nadań mogłoby do pewnego stopnia świadczyć o rozroście warzelnii książęcych. Z drugiej jednak strony jest to zapewne świadectwem coraz większego uzależnienia się księcia od wielmożów świeckich i duchownych. Ilość nadań przewyższyła widocznie w końcu możliwości produkcyjne żup krakowskich, bo około roku 1278 Bolesław Wsty-



dliwy zdecydował się na krok bardzo śmiały: unieważnił mianowicie wszystkie nadania i uposażenia solne ciążące na Bochni i Wieliczce. Nie pomogło to jednak na długo. Już wkrótce nastąpiły nowe nadania, a nawet przywrócono niektóre dawniejsze przywileje.

W ciągu drugiej połowy XIII wieku zachodzą w warzelnictwie polskim wielkie zmiany. W związku z powstaniem bogatych kopalni soli w Bochni (1251) i w Wieliczce (zapewne nieco później) i z ogólnymi przemianami gospodarczymi małe, lokalne warzelnie soli przestają się opłacać i stopniowo ulegają likwidacji. Utrzymują się tylko warzelnie w Kołobrzegu, Bochni i Wieliczce. Te dwie ostatnie przechodzą jednak stopniowo od wykorzystywania solanki występującej na powierzchni w sposób naturalny do warzenia wody słonej dostarczanej przez kopalnię.

Jak wyglądał proces warzenia soli w warzelnii średniowiecznej? Możemy go częściowo odtworzyć na podstawie dokumentów.

Podstawę istnienia warzelnii stanowiły źródła słone często wymieniane w dokumentach. Określenia tego nie należy jednak rozumieć tutaj dosłownie. Z dokumentu księcia zachodniopomorskiego Barnima I dla klasztoru w Bukowie z r. 1265, w którym książę zezwala zakonnikom „wykopać nowe źródło” określając zarazem jego wymiary na 12 stóp na długość i 12 na szerokość wynika, że były to kopane w ziemi zbiorniki, w których gromadziła się słona woda dobywająca się na powierzchnię czy to w postaci źródeł czy też moczaru słonego. Taki właśnie zbiornik miał zapewne na myśli Bolesław Wstydlivy zlecając w r. 1273 cystersom wąchockim odno-

wienie i naprawienie zniszczonego „źródła słonego” w Bochni i wyznaczając równocześnie odszkodowanie za poniesione w związku z tym koszty. Zbiorniki te były zapewne ocebrowane drzewem, jak świadczą o tym wyniki prac wykopaliskowych w Bochni w r. 1957.

W jaki sposób dostarczano solankę ze zbiorników do domów warzelnych nie wiadomo. Przypuszcza się, że przy pomocy rynien drewnianych, brak jednak na razie na to dowodów.

W domach warzelnych (zwanych w żupach krakowskich „wieżami”) pomieszczone były kotły do warzenia solanki zwane wówczas „cerunami”. Domy te były różnej wielkości. W Kołobrzegu np. mieściły cztery a nawet sześć kotłów. Małopolskie były znacznie mniejsze — zawierały tylko po jednym kotle.

Kotły także różniły się rozmiarami. Dokument z r. 1255 określający daninę, jaką ma składać miasto Kołobrzeg rozróżnia wyraźnie między „małym” a „dużym kotłem”. Wnosząc z wyznaczonych opłat należałoby sądzić, że duży kotł był dwukrotnie większy od małego. Kotły te napełniano solanką, gotując ją następnie na ogniu tak długo, aż woda wyparowała zupełnie, a na dnie naczynia pozostał osad czystej soli.

W warzelniach istniał planowy podział solanki pomiędzy poszczególne domy warzelne. Jak wynika z nadań, każdy dom warzelny posiadał swoje źródło-zbiornik, które zaopatrywało jego kotły w surowiec. W wypadku, jeśli obdarowany miał prawo czerpać solankę dowolnie ze wszystkich zbiorników (jak np. kapelan bocheński Jakub), książę zaznacza to specjalnie w dokumencie.

Duże znaczenie miała dla warzelnii sprawa zaopatrzenia w drzewo, zarówno budowlane jak i opałowe. Zachowały się dwa dotyczące tego dokumenty. Jeden, to akt lokacyjny Bochni z r. 1253, w którym książę zastrzega żupie prawo korzystania z lasów w promieniu jednej mili od miasta „na ogień i dla wznoszenia budowli”. (Nawiasem nadmienić trzeba, że zastrzeżone tu dla żupy drzewo budowlane w części przeznaczone było już zapewne na potrzeby kopalni). W drugim dokumencie z r. 1255, Konrad Mazowiecki nadając Krzyżakom warzelnię soli w Stońsku zapewnia im prawo korzystania z lasów okolicznych dla warzenia soli. Właściciel lasów, rycerz Hebd, ma otrzymywać jako wynagrodzenie dwa korce soli rocznie. Jeśli się on na to nie zgadzał, książę obiecuje go ułagodzić.

Wartoby na zakończenie powiedzieć coś o wydajności polskich warzelnii średniowiecznych. Niestety wiadomości nasze na ten temat są więcej niż skąpe — ograniczają się właściwie do dwóch wzmianek w dokumentach.

Pierwsza zawarta jest we wspomnianym wyżej nadaniu Konrada Mazowieckiego dla Krzyżaków z r. 1235. Książę zastrzega w nim, że winni oni płacić rocznie 4 korce soli biskupowi jako dziesięcinę. Wynikałoby stąd, że warzelnia o dwóch kotłach produkowała rocznie 40 korce soli.

Drugi dokument z r. 1285 dotyczy warzelnii wielickiej. Leszek Czarny jako książę krakowski przyznaje w nim klasztorowi augustianów w Trzemesznie zamiast posiadanej dotychczas kotła w Wieliczce, dającego niestały dochód — stałe uposażenie w wysokości 10 korce soli rocznie. Zdawałoby się stąd wynikać, że wydajność kotłów wielickich było o połowę mniejsza od kujawskich. Musimy jednak wziąć pod uwagę, że chodzi o kotł dający z jakichś powodów niskie i niestałe dochody. Możliwe więc, że rozmyślnie oszacowano nisko jego produkcję, aby skarb książęcy nie poniósł zbyt wielkiej straty.

Trzeba przy tym podkreślić, że z tych wzmianek nie można wyciągać żadnych wniosków co do produkcji innych warzelnii. Każde źródło mogło mieć inną zawartość soli, w związku z czym wydajność korzystającej z niego warzelnii musiała być inna.

* Problem pierwszych kopalni soli kamiennej w Polsce omawiała autorka w artykule *Początki wydobywania soli w Polsce*, ZIEMIA nr 2/57.



REDAGUJE
T A D E U S Z
K A Ł K O W S K I
SKARB CZYK
NUMIZMATYCZNY 4

GDAŃSKIE MONETY ZŁOTEGO WIEKU

W miesiącach letnich i jesiennych nadmorskie szlaki zaludniały setki wędrowców-krajoznawców. Celem ich wycieczek niejednokrotnie był stary Gdańsk. Wielu wędrowców zerknął się tu może z pięknymi gdańskimi numizmatami. Na przestrzeni ostatnich pięciu wieków było ich aż nadto wiele — dobre kilkaset typów i odmian. A na wszystkich pod koroną dwa krzyże w pionie, herb dumnego miasta, które było i jest polską bramą w świat...

Z reprodukcji obok pięknego grosza gdańskiego z r. 1538 patrzy na Was ten herb i popiersie 72-letniego króla Zygmunta I Starożytnego, przedostatniego Jagiellona (ur. 1466), wyrzeźbione



Grosz gdański z roku 1538, z wizerunkiem Zygmunta I Starożytnego. Fot. A. Broż.

przez renesansowego artysty-medaliera. Dopiero od kilkunastu lat nowy prąd artystyczny zastąpił trzywiekową surowość gotyckich kształtów. Urzeka piękność i wdzięk tej renesansowej monety: na awersie oblicze, jakże prawdziwe, sędziwego króla, na rewersie fantazyjna korona w herbie. Panowanie Zygmunta I (1506—1548) i Zygmunta III

Wazy (1587—1632) to prawdziwie złoty wiek mennictwa gdańskiego.

Jedźcie do Gdańska i szukajcie gdańskich monet. Odwiedźcie Muzeum Gdańskie, gdzie Wam pokażą cały poczet świetnych numizmatów i podadzą adresy zbieraczy. Odwiedźcie sklepy „DE-SY” w Gdańsku (ul. Długa 2) i w Gdyni (ul. Świętojańska 44), jedyne w kra-

ju prowadzące sprzedaż numizmatów, gdy wszystkie inne, z krakowską „DE-SA” na czele, w myśl hasła: „tyłem do klienta” uważają ten dział za „zbyt pracochłonny”. Dlatego w Krakowie, słynnym z tradycji numizmatycznych, numizmatyką zajęli się z litością... filatelisci [Sekcja Numizmatyczna Pol. Zw. Filat. Kraków, ul. Wiślna 8].

CO TO SĄ NIBY MONETY

Prócz monet i medali, numizmatyka zajmuje się okazami nie należącymi ani do pierwszych, ani do drugich. Swym zastosowaniem okazały te zbliżone są czasem więcej do monet — będą to prywatne znaki pieniężne, sztony, liczniki, czasem więcej do medali jak np. żetony, cechy, marki itp. Trudno tu zresztą przeprowadzić

jakąś ścisłą linię podziału. Swym wyglądem zewnętrznym okazały te zbliżone są do monet, stąd też numizmatyka niemiecka nazywa je „sztukami podobnymi do monet” (münzähnliche Stücke). Zagraniczne katalogi numizmatyczne oferują je na równi z monetami i medalami, a my zgodz-

my się na nazwanie ich „nibymonetami”, zanim ktoś wymyśli na nie lepszą nazwę.

Nibymonetami są zatem znaki państwowe, które opisaliśmy w odcinku 2 Skarbczyka. Nibymonetami są również monety firmowe i dominialne (dworskie) zakopiańskie, opisane w odcinku 3 Skarbczyka. Tu będą też należały prywatne znaki pieniężne, opisane z mnóstwem rycin przez M. Kowalskiego

w nrze 1 „Wiadomości Numizmatycznych” z r. 1957 oraz znak pieniężny radziwiłowski odkryty przez prof. Z. Wdowiszewskiego w nrze 2 „Wiad. Num.” 1957.

Nibymonety trafiają się zbieraczowi bardzo często. Wędrowiec-krajoznawca ma wiele okazji do ich napotkania. Niektóre z nich mogą być bardzo interesujące, jak np. te dwie sztuki, które tu poniżej opisujemy.

CO GAZO- MISTRZ KÖNIG ZNAŁAZŁ W WYKOPACH ULICZNYCH W KRAKOWIE

Pamięci potomnych przekazujemy pamięć Stanisława Königa, gazomistrza Krakowskiej, zmarłego w roku 1927. Przez cały swój długi i pracowity żywot nadzorował on roboty ziemne przy zakładaniu gazociągów w ulicach Krakowa i przy tej okazji gromadził skrupulatnie wszystkie monety, wykopywane przez robotników. Było tego ostatecznie dość dużo, ponad 1000 sztuk, wśród nich znalazł się nawet mały skarb rzymski, złożony z 6 monet i brązowego pierścienia. Monety te, datowa-

ne na I i II wiek naszej ery, opisał zmarły niedawno prof. L. Piotrowicz w roczniku 1928/29 krakowskich „Wiadomości Numizm. — Arch.” str. 54. Z biegiem lat przypadkowy ten zbiór, zawierający zresztą mnóstwo zaśniedziałych XIX-towiecznych monet miedzianych, uległ rozproszeniu. Ostatnie żalozne jego resztki, w ilości zaledwie około 100 sztuk, uważane widocznie przez zbieraczy za bezwartościowe mieliśmy sposobność oglądać w roku 1942. I o dziwo! Znalazły się tam nibymonety pierwszorzędne zna-

czenia: nieznaną krakowską cecha podatkową z XV wieku (unikat!) i kilka norymberskich liczmanów kupieckich z wieku XVII. O tych ostatnich napiszemy kiedyś osobno.

Znaleziony przez Königa średniowieczny znak, który reprodujemy obok jest prawdopodobnie średniowiecznym krakowskim kwitem metalowym na wniesioną do kasy miejskiej opłatę publiczną. W ówczesnych miastach opłat takich było wiele i różnie się też nazywały. Opodatkowany był np. przewóz wina z jednej piwnicy do drugiej. Rzecz jasna, że woźnica był obowiązany posiadać przy sobie dowód uiszczony opłaty miejskiej. Może więc jest to właśnie kwit tej opłaty, zgubiony po drodze przez furmana? Ze zgubiony — to fakt,



skoro znaleźli go robotnicy gazomistrza Königa. Oto macie klasyczny przykład pierwszorzędnej odkrycia numizmatycznego z działu nibymonet na tak zwanej „gładkiej drodze” wędrowek po kraju.

CO REDAKTOR SKARB CZYKA ZNAŁAZŁ „NA CIUCHACH” W LUBLINIE?

Ta sama sprawa rzadkiej nibymonety, ale w wydaniu zagranicznym, o 300 lat młodszym. Przyjrzyjcie się temu dziwnemu znakowi. Nos, wąsy, broda i rosyjski napis. Znowu cechakwit na wniesioną opłatę, tym razem państwową.

Znajdujemy się wraz z tym znakiem w Rosji cara Piotra Wielkiego, w roku 1705. Car wprowadza postępowanie do swego zacofanego kraju, tkwiącego jeszcze głęboko w średniowieczu. Każę przywdziewać cudzoziemski modny strój i obcinać długie tradycyjne brody. Operacje to nieprzyjemne i śmieszne, więc satyra ludowa szydzi z starowierów-raskolników, operowanych masowo przez balwierzy.

Kto chce zachować brodę, musi uiścić podatek w kasie państwowej. Wydadzą mu tam metalowy znak „diengi wziati”, który brodacz winien stać nosić przy sobie i okazywać na żądanie. Taki znak redaktor SKARB CZYKA znalazł „na ciuchach” w Lublinie, co dla wędrowców-zbieraczy jest nieomylną wskazówką, że



Rosyjski drzeworyt ludowy z pocz. XVIII w. przedstawia starowiera u gólibrody. „Dziengi wziaty”, rosyjska cecha — kwit za wniesiony podatek pań-

stwowy od noszenia brody i wąsów. Na koniec: „psia marka” wybita w r. 1932 w Kallszu.



należy pilnie przeszukać tego rodzaju bazary w całym kraju. Ze znalezionych okazów prosimy porobić następnie odbitki i przysłać do SKARB CZYKA do publikacji. Oby tylko były tak wyraźne i staranne, jak te nasze.

Na marginesie tej sprawy trzeba dodać, że obyczaj wydawania metalowych cech jako kwitów na uiszczoną opłatę publiczną przetrwał od średniowiecza po dzień dzisiejszy w formie tzw. „psich marek”, noszonych na obroży przez psy jako dowód uiszczony opłaty komunalnej. Przy odrobinie starania psie marki mogą mieć wygląd zupełnie przyzwoitej nibymonety, jak ta kaliska z r. 1932.



SKRZYŃKA POCZTOWA

ALEKSANDER Z. ZIELONA GÓRA. Moneta, której rysunek przysłał mi jest monetą miasta Opola, mającego w herbie pół orła i pół krzyża. Monetę wybito w XV. wieku. Druga moneta — jak można sądzić z olówkowej odbitki, jest „wycieruchem”, nie nadającym się do zbioru. Jest to 3-kraj-

carówka cesarza Leopolda I. z r. 1689, nie mająca związku ze Śląskiem. Radzimy odwiedzić Wystawę Piastów w Muzeum Miejskim w Nowej Soli, gdzie dział numizmatyczny jest dość rozbudowany i zawiera szereg numizmatów śląskich.

STEFAN G. PIŁA. Prysłana odbitka

wyazuje, że jest Pan posiadaczem pięknego trojaka Zygmunta III, wybitego w Bydgoszczy. Druga moneta, większa, to szóstak koronny Jana Kazimierza z r. 1662, wybita w mennicy lwowskiej. Wskazują na to litery GBA na rewersie, oznaczające zarząd tej mennicy, którym był Giovanni Battista Amurelli. Szóstaki z mennicy lwowskiej

są rzadsze od innych szóstaków koronnych.

JÓZEF D. PRZEMYSŁ. Poruszone przez Pana zagadnienie konserwacji numizmatów jest ważne nie tylko dla początkujących numizmatyków. Postaramy się podać wkrótce w Skarbczyku kilka najprostszych recept. Dziękujemy za ciepłe słowa.

PODEJRZANI WOJACY

W popularnym czasopiśmie „Przyjaciel Ludu” wychodzącym w Lesznie w pierwszej połowie XIX w. ukazywało się wiele rycin, na których fantazję zwracano już niejednokrotnie uwagę. Prym dzierży rycina przedstawiająca „Wojsko w dawnej Polsce”. Obrazek wdzięczny, może nawet stylowy. Jeżeli jednak spojrzeć na

sarskie były przeważnie umocowane do siodła rzadziej do naplecznika). Strój towarzysza pancernego wykazuje już mniejsze rozbieżności z historycznym strojem tego typu jazdy. Zastrzeżenie budzi forma hełmu (używano jedynie miszurki) i nieużywanie przez pancernych kirys i naramienniki (używano wyłącznie kolczugi)

DAWNE SŁUPY

Wśród mieszkańców Słubic krąży od dłuższego czasu ciekawa wiadomość mówiąca o istnieniu w rejonie tego miasta śladu słupów granicznych, którymi Bolesław Chrobry ze swą drużyną uwieńczył na Odrze granice państwa polskiego. Fakt ten całkowicie przypadkowo zakomunikował ojcom miasta w czasie wizyty delegacji niemieckiej z Frankfurtu nad Odrą jeden z jej uczestników — stary działacz KPD. Oświadczył on — jako dawny mieszkaniec Słubic — że przy rozgałęzieniu dróg wiodących w kierunku Zielonej Góry i Rzepina, stał na skraju starego koryta Odry słup kamienny z lewdo dostrzegalnym orłem piastow-

skim, który jak głosiła fama był oryginalnym zabytkiem z czasów Chrobrego. W pierwszych latach po dojściu do władzy Hitlera, słup ten został rozłupany na części przez tłum SS-manów a następnie zagrzebany głęboko w ziemi. Wiadomość ta przytoczona przez radnego ze Słubic na ostatniej sesji WRN poświęconej obchodom tysiąclecia państwa polskiego na Ziemi Lubuskiej; wywołała powszechne zainteresowanie. W najbliższym czasie staraniem zielonogórskich placówek naukowych i archeologów odbędą się szczegółowe poszukiwania zakopanego słupa.



niego krytycznym okiem bronioznawcy, to po prostu „włosy stają dęba”. Strój husarza, zupełnie niegodny z prawdą przypomina bardziej popularne postacie Michała Anioła ze skrzydłami anielskimi (skrzydła hu-

Strój Kozaka, niewątpliwie chodzi o Kozaka rejestrowego, jest w ogóle nie do przyjęcia. Od pancernych różnił się Kozacy jedynie krótszą kolczugą, brakiem hełmu (misiurki) i karwaszy. Kozak z ryciny Mielsarzewicza przy-

pomina swoim strojem bardziej Kozaków XIX w. Dla porównania załączam rysunek przedstawiający omawiane trzy postacie w stroju i uzbrojeniu właściwym dla drugiej połowy XVII w.

- • • ZAKUPIMY • • •
- kompletne roczniki lub
- poszczególne egzemplarze „Ziemi” z lat 1910—
- 1950. Oferty prosimy
- nadsyłać na adres redakcji: Basztowa 6, Kraków, Redakcja „Ziemi”.

Bezpłatny dodatek
Do numeru za listopad i grudzień, który będzie zeszytem o podwójnej numeracji 25/26 i zarazem specjalnym wydaniem świątecznym w cenie 5 zł, dołączamy bezpłatny dodatek — spis treści wszystkich zeszytów „Ziemi”, jakie ukazały się od listopada 1956.

- • • ROCZNIKI • • •
- Posiadamy jeszcze pewną ilość oprawnych (płótno, złożone napisy) roczników „Ziemi” 1957, w cenie 100 zł plus koszt przesyłki. Taki rocznik, zawierający przeszło tysiąc różnych ilustracji i trzysta artykułów, reportaży i felietonów — będzie doskonałym prezentem gwiazdkowym, szczególnie dla krewnych i znajomych mieszkających za granicą.
- Wysyłamy także komplety „Ziemi” nieoprawne w cenie zł 60.— plus koszt przesyłki. Możemy również dostarczyć za pobraniem pocztowym pojedyncze numery z wyjątkiem wyczerpanych 1 i 2 z roku 1956.

RECENZJE

KRAKOWSKIE „WIADOMOŚCI KONSERWATORSKIE”

Problematyce opieki nad zabytkami poświęca się — zwłaszcza okresowo — stosunkowo dużo miejsca na łamach tygodników i prasy codziennej. A jednak mimo to tak się jakoś złożyło że poza jednym w skali krajowej kwartalnikiem „Ochrona Zabytków” brak jest jakichkolwiek innych wydawnictw poświęconych tym sprawom. Brak jest zwłaszcza wydawnictw redagowanych przez konserwatorów, czyli zawierających materiały pochodzące z „pierwszej ręki”. Nie posiadamy systematycznej, obiektywnej i bądź co bądź oficjalnej informacji o stale dokonywanych nowych odkryciach, o pracach, sukcesach i stratach w dziedzinie zabytków kultury. Nie chodzi zresztą już tylko o zwykłe informowanie społeczeństwa, ale o dokumentację działalności konserwatorskiej. W pierwszym rzędzie docenia ją ci, którzy przetrząsają archiwa i biblioteki, szukając często bez rezultatów materiałów

RECENZJE

mówiących o historii poszczególnych zabytków w ciągu nawet ostatnich dziesięć lat. Sprawa publikowania rezultatów działalności konserwatorskiej w skali województwa (a w wielu wypadkach mogącej uchodzić uwagi w skali krajowej) — była ideą wydania „Wiadomości Konserwatorskich”, poświęconych sprawom ochrony zabytków województwa krakowskiego. Wydawnictwo jest nam tym więcej bliskie, że — jak czytamy w przedmowie pierwszego numeru — adresowane jest przede wszystkim do opiekunów zabytków PTTK — społecznego ramienia służby konserwatorskiej. Leżą przed nami dwa numery „Wiadomości”. Pierwszy, poświęcony problematyce ogólnej, wśród szeregu notatek zawiera ciekawy artykuł J. Dutkiewicza, omawiający zagrożenie zabytków Tarnowa, czołowego zespołu urbanistycznego na terenie województwa. Drugi zeszyt, znacznie obfitszej treści — poświęcony został w całości zagadnieniom konserwacji malowideł

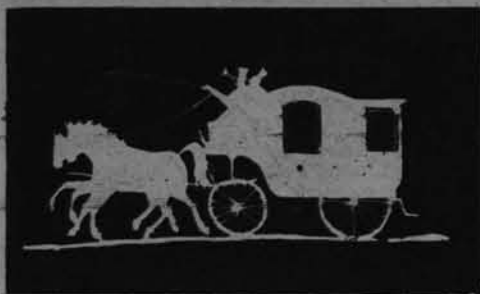
RECENZJE

ściennych. Oprócz artykułów wprowadzających St. Szymańskiego i J. Dutkiewicza oraz — poświęconych technikom konserwacji malowideł — Z. Medweckiej i W. Ślesiańskiego, szczególnie wartości posiadają materiały opublikowane przez H. Pieńkowską i A. Kydryńską, omawiające odkrycia i prace konserwatorskie przy zabytkowych polichromiach w latach 1945—1958. Treści numeru dopełniają prace o charakterze monograficznym, wreszcie krótki katalog odkrytych nieznanymi rzeźb gotyckich, nie uwzględnionych w drukowanych katalogach zabytków. Niezależnie od treści cennym uzupełnieniem artykułów są drobne reprodukcje (przeszło sześćdziesiąt). W „Ziemi” staramy się zawsze zwrócić swym czytelnikom uwagę na mało znane, a interesujące wydawnictwa. W wypadku krakowskich „Wiadomości Konserwatorskich” czynimy to z tym większą satysfakcją, że chodzi o cenną publikację o dużej wartości naukowej i dokumentarnej. (a)

WIADOMOŚCI KONSERWATORSKIE

IX - 1957
KRAKÓW

„Steinkellerki”



„Warszawa miała onegdaj nowy widok spuszczenia okrętu z warsztatu. Był to okręt ani żaglowy, ani parowy, ale również żwawy i pośpieszny okręt czterokołowy Piotra Steinkellera, zwany kareta kurjerską, mający codziennie biegać między Warszawą a Krakowem. Mnóstwo ciekawych zappełniło przyległe ulice i podwórze domu Steinkellerowskiego, przy ul. Trębackiej. Stosownie do poprzedniego ogłoszenia, za uderzeniem godziny 4-tej na zegarze ratuszowym, wysunął się równie ozdobny jak wygodny pojazd zaprzężony 4-ma końmi (w ogłoszeniu przyręczone tylko 3 konie). Wszystkie miejsca były zajęte i z przyjemnością widzieliśmy między podróżnymi znakomite osoby, otwierające ten pierwszy kurs. Konsul Wielkiej Brytanii, tudzież Girard (Zirard), Naczelnik inżynier górnictwa, W. Lampe, Naczelnik górnictwa. Był także między podróżnymi, właściciel, który przy mnogich i pożytecznych swoich zatrudnieniach, znalazł czas do poświęcenia tej prawdziwej w swoim rodzaju uroczystości. Siedział on obok kurjera i zdawał się cieszyć z zajęcia jakie Publiczność mnogo zebrana widocznym okazywała. Z powodu braku miejsc, właściciel swój pojazd dołączył do karety. Na wszystkich stacjach, a mianowicie przeznaczonych do posilków i odpoczynku przygotowane jest wszystko czego by tylko do potrzeby i wygody życzyć można. Kareta kurjerska urządzeniem swoim i pośpiechem nadzwyczajnym, nie tylko wyrównywa podobnego rodzaju komunikacjom zagranicznym, ale je nawet w wielu względów przechodzi. Wiele ciekawych oczekiwało kareta kurjerską przy rogatkach. Przez stosowne z władzami porozumienia się, meldunek tak został ułatwiony, iż przy wyjeździe z miasta kierownik powozu wręczył tylko urzędnikowi spis poświadczony, i bez najmniejszej straty czasu powóz rażno puścił się dalej. Zaiskrzyła się kamienista droga, jak mówią Krakowiacy; nasz okręćnik nikał z widoku patrzących, którzy odchodząc, tak jak wszyscy życzą temu



Dylizans pocztowy z połowy XIX wieku według rysunku P. Kędzińskiego.

zakładowi prawdziwie pożytecznemu, trwałości i powodzenia”.

Tymi słowy powitał „Kurier Warszawski” (nr. 265 z 1838 r.) ukazanie się nowych karet pocztowych na drogach Królestwa. Co jednak sprawiło że znany przemysłowiec polski Piotr Steinkeller zajął się dylizansami pocztowymi?

W pierwszych latach istnienia Królestwa Kongresowego sieć bitych dróg pocztowych jest bardzo niska. Wynosi zaledwie kilkanaście mil. Po drogach tych kursują nieregularnie, bo w zależności od pogody, niewygodne, przestarzałe „dylizanse skarbowe”. Już i one są wielkim dobrodziejstwem dla mieszkańców miast i miasteczek, których łączą ze „światem”. Z jaką jednak nieopisaną cierpliwością musieli znosić ci pasażerowie z lat trzydziestych ubiegłego stulecia niezliczone udreki podróżowania pocztą! Wypadki ugrzęźnięcia wozu w błotnistej jamie lub pęknięcia koła zdarzały się na porządku

dziennym. Ponadto owe stare dylizanse, bardzo ciężkiej i niezgrabnej budowy, wolno wlokły się od stacji do stacji.

Dążąc do zwiększenia ruchu osobowego i pomnożenia dochodów pocztowych, Generalna Dyrekcja Poczty, przystąpiła do budowy w warsztatach na Solcu wozów ulepszonej konstrukcji, które miały odpowiadać ówczesnym wymaganiom techniki. Ogółem wybudowano 13 dylizansów osobowych, każdy obliczony na przewóz 5 pasażerów.

Nie mogąc jednak podolać potrzebom gospodarczym kraju oraz wzmagającemu się ruchowi pocztowemu na różnych traktach, Dyrekcja Generalna Poczty zaczęła wydawać koncesje osobom prywatnym. I tak w 1836 roku przemysłowiec Piotr Steinkeller otrzymał koncesję na przewóz podróżnych w zamówionych przez niego 12-osobowych karetkach pocztowych. Pierwszy kurs tych karet uruchomiono równo 120 lat temu na

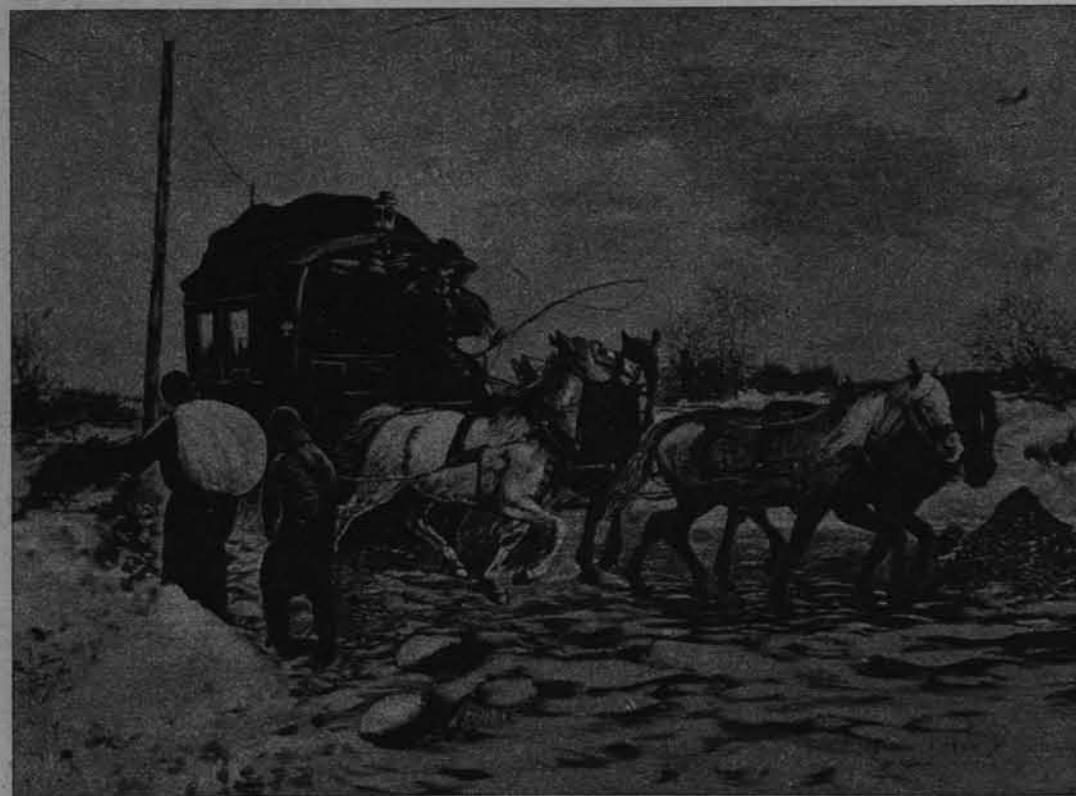
trakcie Warszawa-Radom-Kielce-Kraków.

Piotr Steinkeller pochodził ze spolszczonej rodziny niemieckich kupców, osiadłej w Krakowie jeszcze w dobie przedrozbiorowej. Początkiem jego działalności było zajęcie się dostawą soli dla całego Królestwa Kongresowego. Innym przedsięwzięciem na wielką skalę stanie się budowa kolei Warszawsko-Wiedeńskiej, która przez tyle lat będzie administrowana przez Polaków, mimo że w innych dziedzinach życia publicznego od dawna panoszył się carski urzędnik.

W umowie zawartej z Dyrekcją Poczty a zatwierdzonej przez Radę Administracyjną Królestwa Polskiego 26 lipca 1838 r. Steinkeller zobowiązuje się dostarczyć karety pocztowe wykonane w jego własnych fabrykach w Żarkach i Warszawie. Otrzymuje on prawo przewozu nie tylko pasażerów ale i przesyłek pocztowych, listów rządowych i prywatnych za taką samą opłatą, jaką pobierali pocztalteryzy na tych samych traktach. Wzajemian za to miał prawo pobierać za przewóz każdego podróżnego, wraz z bagażem do 20 funtów, po 45 groszy za milę. Z ogólnej sumy dochodu, osiągniętego za przewóz pasażerów winien był przedsiębiorca wpłacić 3% do Kasy Pocztovej, oraz utrzymywać swoim własnym kosztem niezbędną ilość konduktorów do prowadzenia tych poczty i wypłacać pocztalteryzom za wypożyczone konie (po 4 na każdą kareta) ustaloną takse.

Aby usprawnić kursowanie swych karet pocztowych dbał Steinkeller również o budowę dróg bitych, łączących Kraków, Radom i Kielce, Puławę z Piotrkowem i Widawą, Łowicz z Kaliszem, Puławę z Lublinem i Łomżę z Tykocinem. W tej dziedzinie zasługa Steinkellera dla rozwoju komunikacji polskiej była doprawdy ogromna.

Jak solidnie były budowane owe „steinkellerki”, konstruowane w polskich fabrykach pod nadzorem sprowadzonych z Anglii specjalistów, świadczy fakt że jeszcze w początkach XX wieku używano ich na niektórych szlakach „Kongresówki”. Długo przetrwały one swego twórcę, który w zapomnieniu zmarł w Krakowie w roku 1854.



Obraz J. Ejsmonda przedstawiający karetkę pocztową.

1500:60

w nurkowaniu swobodnym



Autor jest pionierem i propagatorem nurkowania, pierwszym w Polsce podwodnym fotografem, napisał książkę „Trzy miesiące pod wodą”.

To nie jest wcale trick, którym autor chce zafrapować czytelnika. W meczu między płetwonurkami polskimi a radzieckimi stosunek bramek wynosi 1:25 na naszą niekorzyść. W Związku Radzieckim mianowicie wyprodukowano dotychczas 1500 aqualungów wysokiej jakości, w Polsce zaś — 60, i bardzo jeszcze niedoskonałych.

Otrzymałem niedawno list od Wasila Tanasijczuka, młodego leninogradzkiego entomologa, entuzjasty nowego (w Związku Radzieckim) sportu. Zdążył on już w pierwszym roku podwodnej praktyki zbudować kamerę podwodną i uzyskać jedne z pierwszych opublikowanych w ZSRR zdjęć podmorskich. List ma bitych 12 stron, z czego 8 opowiada na moją prośbę o krótkich dziejach swobodnego nurkowania w ZSRR. Jakież ciekawe rzeczy!

Oto historia tego sportu. Właściwie nie tylko sportu. Nurkowanie swobodne to po prostu wtrącenie człowieka do nowego, trójwymiarowego kontynentu, gdzie czekają rozliczne zadania naukowe, gospodarcze, techniczne... W ZSRR zrozumiano to i postawiono w pierwszej kolejności na działalność badawczą.

Zacznijmy od początku. Było nim lato 1956 r., kiedy to w kilku kolejnych numerach czasopisma „Junost” ukazały się fragmenty „Milczącego Świata” Cousteau i Dumasa. „Do etowo nikto u nas nie znał ni ob akwalangach ni o padwodnom sportie” — pisze p. Tanasijczuk. Na dno morskie opuszczali się tylko „profesjonalni wodolazy i otczy niemnogije uczonej”.

Już jednak tego samego lata pojawiają się nad Morzem Czarnym amatorzy wędrówek podwodnych w płetwach i maskach własnej roboty. Natchmiast otacza ich tłum ciekawych. Tak opowiada o tym J. Miedwiednikow w artykule „Pierwsze kroki pod wodą” w numerze 9/58 „Rybolowa - Liubitela”: „Na brzegu grupa ludzi, oczy utkwione w jeden punkt. Powierzchnia morza w tym miejscu pusta. Delfiny? Nieszcześnie wypadek? Nie — odpowiada mi ktoś z tłumu — człowiek dał nurka”.

W zimie 1956/57 grupy amatorów nowego sportu w Moskwie i w Leningradzie konstruują własnym przemysłem maski, płetwy i rurki oddechowe. Najbardziej zainteresowane są oczywiście instytuty naukowe, wśród nich — Instytut Gospodarki rybnej. Zaczyna się sprowadzać literaturę zagraniczną. Jedną z kijowskich fabryk przygotowuje się do produkcji masek i płetw, a znane zakłady metalurgiczne w Orichowie-Zujewo do wyrobu rosyjskiej wersji aqualungu. Nadchodzi z Francji pierwsze egzemplarze pośpiesznie zamówionych oryginalnych skafandrow C-G.

Latem 1957 roku na wybrzeżach Krymu i Kaukazu pojawiają się kilkadziesiąt „uzbrojonych po zęby” płetwonurków, badających w prak-

tyce zalety wyprodukowanego już (tak, już!) aparatu „Podwodnik”. Grupa reżysera Leontowicza kręci na różnych głębokościach kilkaset metrów taśmy. Wody Morza Czarnego okazują się bardzo przejrzyste. Widoczność — 15 do 20 metrów. Temperatura — 23 do 23° C. na powierzchni, 15 do 17° poniżej 10 metrów. Kamery podwodne Leontowicza funkcjonują doskonale. We wszystkich kinach radzieckich już jesienią ukazują się dodatki przedstawiające sceny w głębinach morza.

Odbywają się też ekspedycje badawcze. W należącej niegdyś do Genuńczyków starej twierdzy Pantikapeum blisko Kerczu grupa płetwonurków w aparatach tlenowych współdziała z archeologami. Inna ekipa odnajduje na dnie w pobliżu Sudaku wrak statku, prawdopodobnie jeszcze greckiego. W tym roku wrak zostanie odmulony i podniesiony.

W rezultacie tych pierwszych ekskursji zrobił się w Związku Radzieckim „ruch” wokół nurkowania. Przy DOSAAF (odpowiednik naszego LPZ) powstały kluby nurkowe, organizujące kursy. Na rynku pojawiły się maski i płetwy wyższej jakości niż kijowskie. Orichowo-Zujewo wyprodukowało 1500 aqualungów, rozprowadzając je w całości między zainteresowane instytuty i instytucje. Amatorzy muszą na razie czekać, potrzeby nauki są zaspokojane przede wszystkim. Niektóre placówki badawcze sprowadzają skafandry, kompresory, kamery wprost z Francji.

Tłumaczy się prace autorów zagranicznych. „Milczący Świat” wychodzi w edycji książkowej w 300 000 egzemplarzy. Nakład książki Franco Prosperiego „Na lunnych ostrowach” (w oryg. „Gran Comora”) opis przygód ekspedycji włoskiej — wynosi 200 000 egz. Ukazuje się też tłumaczenie Rebikoffa „L'exploration sous-marine” a w almanachu „Rybolow-Liubitiel” publikuje się sporo materiałów podwodnych, w tym i wyjątki „Trzech miesięcy pod wodą” niżej podpisanego. Ogromną poczytnością cieszą się też „Wakacje pod wodą” amerykańskiego małżeństwa Crile. Pojawiają się wreszcie książki importowane: Haas, Kleinlein, Rebikoff — natychmiast rozchwytywane.

W Moskwie pod auspicjami Akademii Nauk zbiera się grono młodych uczonych, inżynierów, literatów, które bierze w swoje ręce organizację ruchu nurkowego w kraju. Powstają komisje: sprzętu, organizacyjna, propagandy i sportowa. Regulamin dyscypliny sportowej „łowiectwo podwodne” przedłożono do zatwierdzenia Komitetowi Kultury Fizycznej i Sportu. W planach wydawniczych umieszcza się nowe pozycje obcojęzyczne, m. in. podręcznik Jamesa Aldridge „Podwodne Łowiectwo”. W Centralnym Morskim Klubie DOSAAF utworzony został dział nurkowania swobodnego.

Na koniec trzeba jeszcze wymienić tegoroczne ekspedycje nurkowo-badawcze. A więc wyprawa na Morze Śródziemne, na wody Adriatyku i nad Morze Czarne. Ta ostatnia zorganizowana została przez Instytut Gospodarki Rybnej, który — jak to napisała już nasza prasa codzienna — otrzymał niedawno łódź podwodną, przystosowaną specjalnie do badań głębinowych. W burtach łodzi znajdują się okienka kwarcowe do filmowania i fotografowania życia wód. Silne reflektory uniezależniają operatorów od oświetlenia na-

KRAJOZNAWSTWO ZA GRANICĄ

turalnego. Inne urządzenia umożliwiają pobieranie próbek wody i dna, mierzą temperaturę wody i jej gęstość, zapisują automatycznie profil dna.

Na Krymie w Kara-Dagu reżyser Leontowicz kręci pierwszy długometrażowy film podwodny, a nasz korespondent p. Tanasijczuk nurkuje wraz z ekspedycją rekonesansową w Morzu Kaspijskim, badając możliwości stworzenia tam bazy dla płetwonurków. „W Czarnym zaś Morzu — pisze — będzie tego roku tłoczno”.

List Rosjanina kończą pytania. Jedno z nich brzmi: „Gdzie nurkują tego lata polscy sportowcy? Czy tylko na Bałtyku, czy też i w ciepłych morzach?”

Moja opowieść o losach sportu podwodnego w Polsce musiała być niestety mniej ciekawa. Bo czymże mogłem się pochwalić w imieniu polskich płetwonurków? Ze zaczęliśmy o kilka lat wcześniej? Czy nasi płetwonurkowie wyszli naprawdę w plener? Czy dokonali jakiegoś odkrycia? Czy potrafili nową techniką przenikania w głąb wody powiązać z pracą naukowo-badawczą, czy zajęli się fotografowaniem, filmowaniem? Czy wreszcie znaleźli w ogóle dla ruchu nurkowego jakieś atrakcyjne, spopularyzowane cele? Nie.

Nieliczne wyjątki potwierdzają tylko regułę. Większość istniejących klubów ugrzęzła w beznadziejnej „robocie szkoleniowej”. Działalność ich ożywia się tylko w porze jesienno-zimowej, kiedy na krytych basenach prowadzi się intensywne treningi. W imię czego? Nie wiadomo, gdyż nabytych umiejętności nie wykorzystuje się we właściwym sezonie nurkowym, w lecie, kiedy działalność klubowa... zamiera.

Ani poszczególne kluby, ani w młodym wieku na starczych urzędach zmara Komisja Turystyki Podwodnej przy Zarządzie Głównym PTK nie potrafiły wywrzeć presji na przemysł, który wciąż jeszcze nie zaspokaja najprymitywniejszych potrzeb nurka sportowego. Za mało dostarcza na rynek płetw, masek i rurek oddechowych. Te zaś, które pojawiają się na półkach sklepów, są na ogół niskiej jakości. O strojach izotermicznych, czy aqualungach — głucho. Seria 60 aparatów powietrznych „Neptun” (własna, niepotrzebnie „poprawiona” odmiana aqualungu) wyprodukowana została jeszcze ubiegłej zimy, ale rozmaite opory nie pozwalają producentowi „rozwinąć skrzydeł”. W tym obrazie chaosu i wyczekiwania wyjątek stanowi jedynie działalność Poznańskiego Klubu Podwodnego, który nie tylko zgromadził ludzi prawdziwie zamiłowanych w uprawianiu podwodnych wędrówek, nie tylko umiał wszystkich zaprząć do pracy dla wspólnego dobra, ale też wykazuje niezwykłą prężność organizacyjną i pomysłowość.

Innym mankamentem pracy pozostałych naszych klubów podwodnych jest typowe zresztą dla wielu organizacji sportowych nastawienie członków. Można by je określić mianem nachalnego żebractwa. Członkowie traktują klub jako dojną krowę, która musi dawać. Oni są przecież tylko dlatego w klubie, żeby brać. Najbardziej ofiarny zarząd klubu musi w końcu skapitulować. Pracować, zabiegać, prowadzić akcję propagandową, szkoleniową, organizować obozy itd. — od tego jest zarząd. A członkowie? Płacą przecież składkę miesięczną, przychodzą na zebrania i treningi — czegoż jeszcze od nich chce? Wbrew pozorom uprawianie spor-

tu podwodnego jest o wiele mniej kosztowne niż np. gra w tenisa. Rzecz sprowadza się raczej do umiejętności zorganizowania się, postawienia sobie pewnych celów i popartego dozą uporczywego dążenia do ich realizacji. Płetwonurkowie NRD zrzeszeni w organizacji odpowiadającej naszemu LPZ (Gesellschaft für Sport und Technik) zdążyli już odbyć wyprawę nurkowo-badawczą nad Morze Czarne (1956) i taką samą wyprawę nad Adriatyk, do Albanii (1957). W trakcie tej ostatniej nakręcony został barwny reportaż podmorski, a jej przebieg opisuje książka jednego z uczestników, G. Klienleina „Fackel in der Adria”. Tego lata wyruszyły aż dwie wyprawy nad Morze Śródziemne. Jak wynika z analizy kosztów, utrzymanie jednego członka wyprawy (grupa 16-osobowa, mieszkanie w namiotach, obozowy tryb życia) łącznie z przejazdami, kieszonkowym itp. wynosiło w przeliczeniu mniej więcej połowę ceny noclegu w hotelu II kategorii w takiej np. Warnie nad Morzem Czarnym. Interesujące, prawda?

Wracając do odpowiedzi na pytanie W. Tanasijczuka: „Gdzie nurkują tego lata Polacy-sportowcy? Czy tylko w Bałtyku, czy także i w ciepłych morzach?” — można by, sprowadzając rzecz do absurdu, odpowiedzieć: „Głównie w balii, niestety”. Bo cóż tam mówić o ciepłych morzach skoro nad rodzimym Bałtykiem nie rozbija jak dotąd swych namiotów ani jedna wyprawa naszych płetwonurków, skądinąd na ogół doskonale wykonujących skomplikowane, cyrkowe wprost ewolucje podwodne w krytych basenach... w zimie.

Witold Zubrzycki

Przypisek Redakcji: Ekspedycja naukowo-badawcza botaników PAN i nurków Stacji Morskiej, o której piszemy na str. 15 była zorganizowana i przeprowadzona przez naukowców i fachowców, łącznie ze „sportowców” czy „turystycznych” płetwonurków nie brał w niej udziału. Była to zresztą dopiero druga naukowa ekspedycja podwodna w Polsce. Pierwsza, w r. 1955, do Morskiego Oka zorganizowana była również przez Stację Morską PAN, przy współudziale krakowskich speleologów. Obydwoma ekspedycjami kierował autor powyższego artykułu, który pewnie przez skromność o tym nie wspomina.

SKOK z WIEŻY

Ponad zieloną gęstwiną dżungli sterczy sklecona z lian i belek 23-metrowa wieża. Wznosi się ona na zboczu wzgórza ogołoconego z drzew i krzewów. Na szczyt wspina się szczupła, ciemnoskóra postać. Zebrały na polanie tłum wyspiarzy obserwuje ją z napięciem. Po chwili na szczytowej platformie wieży pojawia się człowiek. Macha dłońmi ku zebranym w dole współplemieńcom. Następnie, przyciskając ręce do tułowia, skacze głową w dół!

Czyżybśmy tu mieli do czynienia z jakimś egzotycznym przykładem rytualnego samobójstwa lub kary? Nic podobnego. To po prostu popularny sport uprawiany przez mieszkańców melanezyjskiego archipelagu Nowe Hebridy. Takie widowiska odbywają się tam jakoby co roku, choć niewielu dotychczas białych było ich świadkami. Dość obszerny opis owej tradycyjnej imprezy sportowej zawdzięczamy Irvingowi i Elekcie Johnsonom. Podróżnicy ci zetknęli się z nią 3 lata temu na wyspce Pentacost.

KRAJOZNAWSTWO ZA GRANICĄ

W tym roku wydano w USA kompletny katalog tzw. Kolekcji Bliss,

pt. Pre-Columbian Art. Ukazał się on nakładem Phaidon Publishers Ltd.

Kolekcja Bliss to bogate zbiory sztuki dawnych ludów Meksyku, Ameryki Środkowej i Peru, znajdujące się od roku 1947 na wystawie National Gallery of Art w Waszyngtonie. Gromadzenie ich zapoczątkował przed trzydziestu laty amerykański dyplomata Robert Woods Bliss. Wydanie katalogu umożliwia uczynnym całego świata korzystanie z tych dotychczas dla większości niedostępnych zbiorów (z).

Bardzo charakterystycznym szczegółem sylwetki dawnych żaglowców była ozdobnie wykonana rzeźba, umieszczona na dziobie, tuż pod bukszprytem. Kolekcję takich rzeźb zebrało

w ciągu ostatnich 25 lat Muzeum Morskie w południowoaustralijskim porcie Adelaide. Niektóre z obiektów posiadają burzliwą przeszłość, niejednokrotnie stały się mogiła kan-

wą dla awanturycznej powieści lub filmu. Dzieje ich statków to część historii podboju tej części oceanu przez europejskich żeglarzy.

Takie miniaturowe modele tradycyjnych wozów sycylijskich sprzedają na Sycylii handlarze pamiątek. Ustawione obok zabawki pudełko zapalek daje pojęcie o wielkości modelu. Konik ubrany jest w kolorowy pióropuszczyk a wózek pomalowany jaskrawymi farbami. Podobnie jak prawdziwe ludowe pojazdy w tym kraju o których pisaliśmy w ubiegłym roku (ZIEMIA nr. 11).



NSS NEWS

Vol. 16 - No. 2

February - 1958



PUBLISHED BY THE NATIONAL SPELEOLOGICAL SOCIETY

Ogólnoamerykański doroczny zjazd towarzystwa speleologicznego National Speleological Society odbył się w tym roku w dniach od 9 do 12 kwietnia w Gatlinburg (Tennessee, USA). Pro-

gram zjazdu zawierał szereg odczytów naukowych, wystawę fotografii jaskiniowej, pokaz nurkowania oraz szereg wycieczek do okolicznych jaskiń na obszarze parku narodowego w Great Smoky Mountains. (Z)

cze nie zdarzył się u nich taki nieszczęśliwy wypadek. Ciekawe również, że mimo tak potężnego szarpnięcia w czasie skoku żaden z krajowców nie tylko nie nadwyrężył sobie ścięgna, ale nawet nie obetrze skóry. A przecież szarpnięcia są tak silne, że cała wieża chwieje się na boki mimo podtrzymujących ją ze wszystkich stron lianowych odciągów.

Skok z wieży to nie tylko wyczyn sportowy, lecz również próba dzielności, którą przechodzi każdy mężczyzna z Pentacost, już

jako mały chłopiec. Ośmioletni malcy skaczą z wież dochodzących do 8 m wysokości.

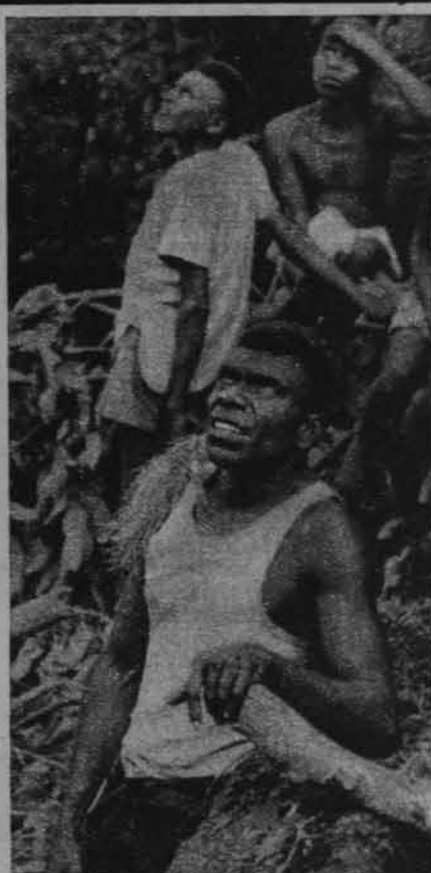
Cała ta impreza sportowa połączona jest ze śpiewem i tańcami. Kobiety z Pentacost mają w niej tylko bierny udział, jakkolwiek według miejscowej legendy to właśnie jedna z nich zapoczątkowała niegdyś ten dziwny zwyczaj. Oto pewnego razu jednemu z mieszkańców wyspy uciekła żona. Rozgniewany małżonek ścigał ją wytrwale, a gdy kobieta schroniła się na wierzchołek ko-

kosowej palmy, mąż począł wspinać się za nią. Wtedy to uciekiniarka zdecydowała się na ryzykowny skok, przywiązując do nóg końce lian i lądując szczęśliwie na dole ku bezgranicznemu zdumieniu całej wsi. Ten odważny wyczyn tak zawstydził melanezyjskich wyspiarzy, że postanowili on od tej pory co roku skakać z jeszcze wyższych wież i w coraz trudniejszych warunkach.

Ażeby skok wykonany był w najlepszym stylu nie wolno skoczkowi nawet w ostatnim momencie zetknię-

cia się z ziemią osłonić głowy rękami. W takim bowiem wypadku naraziłby się ów zawodnik na zarzut tchórzostwa.

(Oprac. wg The National Geographic Magazine)



Wieże buduje się rozmaitej wysokości. Najwyższe dochodzą do 25 a nawet 35 metrów. Ziemię u stóp budowli spulchnia się starannie i oczyszcza z kamieni i kawałków drewna. Przygotowujący się do skoku mężczyzna każdą z nóg owija sobie końcem rozczesanej na paździerz liany. Właśnie owe liany sprawiają, że skoczek zdrowszy i cały wylądował na dole. Muszą być świeże, mocne i sprężyste. Odpowiednia ich długość zadecyduje o życiu lub śmierci zawodnika. W skokach chodzi o to, by człowiek szarpnąwszy swym ciężarem liany, naciągnął je na tyle tylko, żeby przez moment dotknąć czołem spulchnionej powierzchni ziemi. W następnej chwili sprężyste liany kurczą się, podrywając go nieco w górę. Wtedy kobiety uwalniają zawodnika z lianowej asekuracji, otrzepują go z pyłu, poją wodą i odprowadzają na bok by zrobić miejsce następnemu śmialkowi. Jeżeli liany byłyby za krótkie, wówczas skoczek zawisnąłby w powietrzu, nie dotykając w ogóle ziemi. Jeżeli jednak liany wskutek błędnych obliczeń okazały się za długie, wtedy skaczący z wieży złamie sobie kark. A jednak — jeśli wierzyć krajowcom z Pentacost — nigdy jesz-

Fascynującą w Izraelu była świadomość, że stąpam po kraju Biblii, że każda dróżka, każde wzgórze było świadkiem wydarzeń znanych z Ewangelii, czy legend. Odwiedziłam więc należące do Izraela biblijne miejscowości. Wschodni pęcn Arabów Nazaret, Kanę Galilejską, Magdale, Tyberiadę. Wszędzie tam, gdzie rozgrywały się jakieś zdarzenia biblijne mieszczą się dziś klasztory różnych narodowości. Najwięcej włoskich, francuskich i niemieckich. Przy zwiedzaniu klasztorów zdarzyła mi się zabawna historia. Było to w Ein Karem, uroczym biblijnym miasteczku. Otóż zagadnęłam pewnego starego zakonnika Franciszkanina o klasztor, mieszczący się nieopodal, chciałam wiedzieć jak tam trafić. Proszę tam nie iść, powiedział zakonnik ze zgrozą w głosie: to komuniści. Okazało się, że były to po prostu siostrzyczki z prawosławnego monasteru.

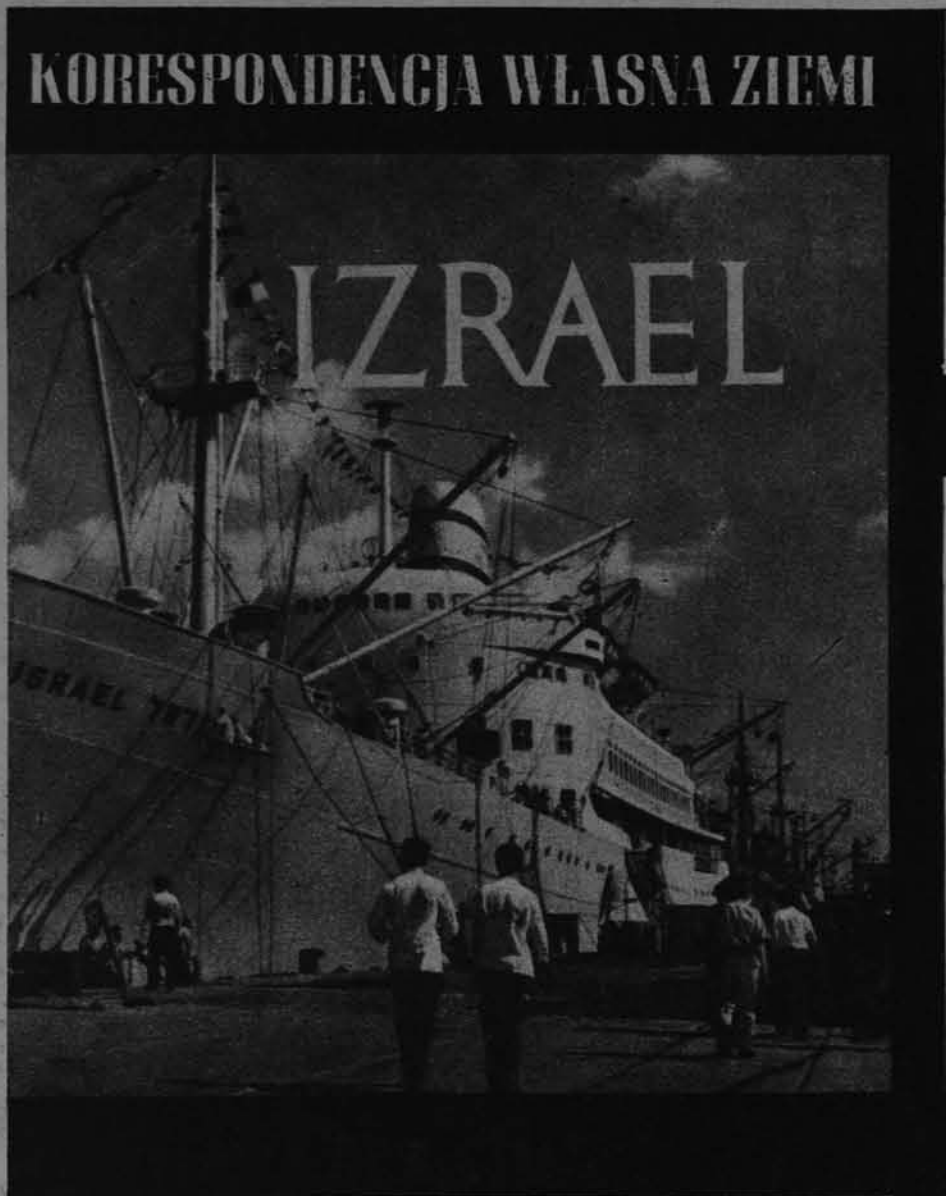
Wielkie rozczarowanie wywołał fakt, że nie będą mogła zobaczyć Grobu Chrystusa, Ściany Płaczu i Golgoty. Wszystkie te miejsca należą już niestety do Jordanii i nie ma mowy, aby móc się do nich dostać ze strony izraelskiej. Jak się dowiedziałam, na odwiedzenie Grobu Chrystusa potrzebne jest pozwolenie króla Jordanii, nie miałam jednak zbytnej ochoty korespondować z królem w tej sprawie. Granica jordańska-izraelska przebiega dziwnie, dlatego jest stale ośrodkiem konfliktów. W Jerozolimie przechodzi ona przez środek miasta. Do Jordanii należy niestety cała piękna, stara część Jerozolimy z wszystkimi zabytkami. Izrael ma część nowszą, wybudowaną w czasach protektoratu angielskiego, dość zresztą nieładną. Tu mieści się stolica państwa, tu znajduje się w bardzo niepozornym ciasnawym budynku Kneset, czyli parlament. Ben Gurion porzucił bowiem nowoczesny i piękny Tel-Aviv i przeniósł stolicę do Jerozolimy w ciągu dosłownie jednego dnia, aby pokazać, że Izrael przynigdy z tego miasta nie zrezygnuje. Jedynym ważniejszym zabytkiem w izraelskiej części Jerozolimy jest legendarny grób króla Dawida, mieszczący się na górze Sjon. Jest to święte miejsce dla pobożnych Żydów i cel ich pielgrzymek od setek lat. Od tej góry, mającej znaczenie symbolu wzięł nazwę ruch, dążący do sprowadzenia Żydów na ziemię obiecaną — Sjonizm. Na górze Sjon można spotkać Żydów-pielgrzymów z całego świata. Siedzą rozmodleni przy grobie Dawida, lub też wpatrują się w widoczną w oddali Ścianę Płaczu. Widziałam starą Żydówkę, która przybyła tu z bardzo daleka, aby modlić się o zdrowie syna. Stała, zanosząc się od płaczu: płaczą tu wszyscy pielgrzymi. Zwiedzanie Jerozolimy jest utrudnione, gdyż co krok natknąć się można na zwoje drutu kolczastego i napis: „Granica”. Nieopatrzne jej przekroczenie grozi śmiercią, gdyż Jordańczycy strzelają bez pardonu.

Bywa niekiedy tak, że front jakiegoś domu należy do Izraela, a jego podwórko jest już jordańskie. Do Izraela należy też stary uniwersytet i stara biblioteka hebrajska. Jest to wysepka na terytorium Jordanii. Żydzi wybudowali sobie nowy wspaniały uniwersytet pod Jerozolimą, a do tego starego docierają tylko oddziały załogi wojskowej. Pewien mój znajomy, który koniecznie chciał zdobyć książkę z tej biblioteki musiał kilka razy przebrać się w mundur żołnierza, żeby się od niej dostać.

Na przedmieściu Jerozolimy znajduje się bardzo cenny i interesujący zabytek, mianowicie kamienny cmentarz Sanhedrion. Tu, w przepięknie wykutych w skale grobowcach chowano członków wielkiego Sanhedrynu, czyli naczelnej rady starszych, założonej podobno jeszcze przez Mojżesza. Grobowce ciągną się na przestrzeni kilku kilometrów w głąb ziemi.

Są pewnie ludzie, którzy wyobra-

KRAJOZNAWSTWO ZA GRANICĄ



zają sobie mieszkańców państwa Izrael, jako samych brodatych pejsatych Żydów w chałatach i lishich czapkach. Zdziwili by się bardzo, gdyby zobaczyli tłum śpieszący ulicami Tel-Awivu, Haify, czy Jerozolimy. Tlum barwny, kolorowy, nowoczesny. Wśród niego można też

zobaczyć Żyda w chałacie i z pejsami, jadącego na rowerze, czy prowadzącego auto. Pobożni tradycyjni Żydzi grupują się w pewnych dzielnicach Jerozolimy i niektórych małych miasteczkach. Ośrodki te są prawie niedostępne dla człowieka z zewnątrz. Panują tam zwyczaje,



obyczaje i stroje niezmiennie od wieków. Szczególnie dużo ortodoksyjnych Żydów rekrutuje się spośród emigrantów z Polski, Rosji i Węgier. Dzielnicę ortodoksov w Jerozolimie nazywają popularnie dzielnicą warszawską. Na wstępie wita nas tablica, upraszająca kobiety

NA MARGINESIE JEDNEJ WYSTAWY

W krakowskiej Bibliotece Miejskiej czynna była w lipcu i sierpniu Wystawa Sztuki Ludowej Województwa Kieleckiego. Granice tego województwa jak wiadomo bynajmniej nie pokrywają się z granicami tworzących go regionów. Toteż organizatorzy wystawy stanęli w obliczu trudnego zadania. Jak przedstawić równomiernie bogaty dorobek artystów ludowych części regionu krakowskiego, dalej regionu Gór Świętokrzyskich, dawnej puszczy Radomskiej, Opoczyńskiego, okolic Sandomierza itd., ażeby jednocześnie

eksponowany materiał nie „rozsadzał” szczerpłych ram wystawy? Z konieczności więc potraktowano kulturę ludową tych regionów bardzo wrywkowo. Wystawa obejmowała przede wszystkim strój, tkaniny, ceramikę i rzeźbę. Inne dziedziny twórczości ludowej zostały potraktowane bardziej marginesowo. Ekspozycję tkactwa i ceramiki oparto przede wszystkim na produkcji licznych ludowych spółdzielni Kielecczyny. I tu, zwłaszcza w dziale ceramiki, widzimy przykłady „cepliowskiej” wytwórczości, w wielu wy-

padkach bardzo słabo związanej z właściwą tradycyjną produkcją ludowego ośrodka. Jest to już raczej „galanteria” ceramiczna, produkowana wyłącznie na zamówienie miejskie i to dla specjalnej kategorii klienteli. Dla tych, którzy do niedawna zdobyli swe mieszkania niezliczoną ilością dętych żelaznych słoni, szklanych figurynek, makatek w haftowane pawie, poduszek w czerwone koguty i rzuconych w kąty kanapy wypchanych trocinami arlekinów. Dziś ludzie ci wzgardzili „secesją” i ozdabiają swe mieszkania seryjną „ludowością”. Tymi naturalistycznymi

glinianymi kogutami i indykami z Itzy, miniaturami dwojaków i trojaków, lub — co gorsza — „wazami” i „amforami” kieleckich chałupników. Szkoda że ostatnio w twórczości spółdzielni ceramicznych Kielecczyny rzadko zaobserwować można naprawdę ładne wyroby. Do takich zaliczałbym np. piękne biskwity zdobione brunatnym wężykiem, wykonane w warsztatach ceramicznych pod Ostrowcem Świętokrzyskim. W dziedzinie rzeźby i snycerstwa obok szeregu interesujących świątków i figurek na uwagę zasługują precyzyjnie zdobione przeszłice, szczególnie

charakterystyczne dla północno-wschodnich obszarów województwa. Na szczególną pochwałę zasługuje sama regionalna inicjatywa zorganizowania takiej imprezy. Wystąpiło z nią bowiem kieleckie Tow. Przyjaciół Sztuk Pięknych i Prezydium WRN w Kielcach. Komisarzem wystawy był krakowski etnograf, mgr Janusz Kamocki. Wystawa ma charakter objazdowy i z Krakowa zostanie przetransportowana do Zakopanego. Dobrze byłoby gdyby w przyszłości i inne województwa organizowały podobne wystawy objazdowe.

W lipcu br. zdobywali sprawność „Etnografa” uczestnicy kursu drużynowych zuchów Chorągwi

Krakowskiej. Kurs odbywał się w górach Świętokrzyskich, w Jeleniowie, pod

kierunkiem znanego etnografa, mgra Janusza Kamockiego. Harcerze zbiera-

li materiały etnograficzne z zakresu folkloru i budownictwa wiejskiego. Mate-

riały te zostały następnie przekazane Muzeum Etnograficznemu w Krakowie.

MUZEUUM

Krasnystaw, małe, ubogie

miasteczko powiatowe na Lubelszczyźnie posiada od 1 maja br. własne muzeum regionalne. Powstało ono przy Powiatowym Domu

Kultury staramiem Kółka Miłośników Historii Ziemi Krasnostawskiej. Pośród eksponatów nowopowstałego muzeum stosunkowo

dość bogato reprezentowany jest dział numizmatyczny. Przy okazji podajemy adres regionalnej organiza-

cji krajoznawczej: Kółko Miłośników Historii Ziemi Krasnostawskiej przy Powiatowym Domu Kultury, Krasnystaw, ul. Okrzei 10.

REAKTYWOWANE TOWARZYSTWO

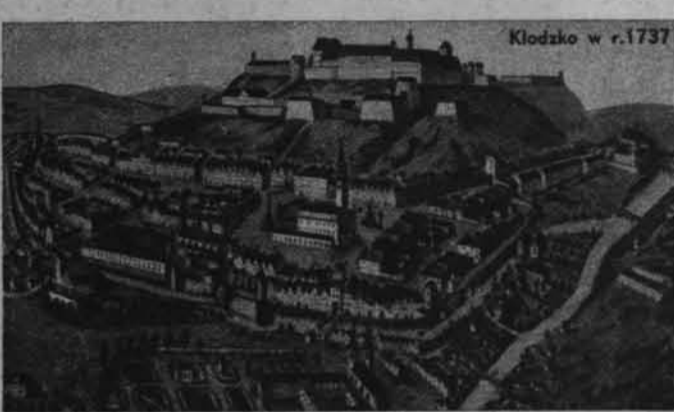
Niedawno reaktywowane zostało Towarzystwo Miłośników Ziemi Kłodzkiej. Powstało ono w 1947 r. jako oddział Instytutu Śląskiego. Postawiło sobie za zadanie propagowanie wartości historycznych i gospodarczych regionu kłodzkiego. Po otrzymaniu własnego gmachu w r. 1948, Towarzystwo zorganizowało archiwum i bibliotekę. Za jego sprawą powstało Muzeum Ziemi Kłodzkiej,

a w lipcu 1948 otwarta została Kłodzka Wystawa Regionalna. Jednocześnie Towarzystwo prowadziło działalność wydawniczą, organem był Rocznik Kłodzki, którego ukazały się dwa tomy. Wokół rocznika skupiły się osoby rozumiejące zadania i odpowiedzialność społeczeństwa polskiego względem tej ziemi. Przed likwidacją zdołało jeszcze Towarzystwo wydać informator „Ziemia

Kłodzka” oraz barwną mapę 1 : 100 000.

Obecnie Towarzystwo Miłośników Ziemi Kłodzkiej zamierza objąć swą działalnością nie tylko ludność mieszkającą stale na tym obszarze Dolnego Śląska lecz również kuracjuszy i turystów, którzy co roku odwiedzają Sudety. Przygotowane jest także wznowienie Rocznika Kłodzkiego.

Dla zainteresowanych podajemy adres Towarzystwa: Kłodzko, Plac Chrobrego 22, p. Helena Getterowa.



Kłodzko w r.1737

NOWE PARKI

Polska posiada 7 parków narodowych: tarzański, pieniński, babiogórski, świętokrzyski, ojcowski i wiel-

kopolski. O tym ostatnim pisaliśmy w tegorocznym czerwcowym numerze ZIEMI. W ciągu najbliższych dwu lat powstaną 4 dalsze parki: kampinoski, karkonoski, woliński i kaszubski. W roku 1960

powstać ma również park narodowy w Bieszczadach. Zdajemy sobie sprawę z niebezpieczeństwa jakie dla pierwotnej przyrody niesie nowoczesna cywilizacja, toteż cieszy nas akcja tworzenia nowych parków i rezer-

watów. Niepokojącym jednak jest fakt nagminnego lekceważenia przepisów ochrony przyrody na terenie w wszystkich parków w Polsce. W wielu wypadkach zarówno dla okolicznej ludności jak i licznych

wycieczek turystycznych przepisy te stają się przysłowiową „martwą literą”, a zbyt nieliczna straż leśna jest w praktyce bezsilna wobec aktów wandalizmu i złej woli.

o przestrzeganie odpowiedniego stroju, a więc długich rękawów, nakrycia głowy i... noszenia pończoch. Po strasznie brudnych, cuchnących rybami uliczkach snują się postaci zupełnie, jak ze starych obrazów. Kobiety w perukach i długich spódnicach, młodzi chłopcy, pejsaci, w białych chałatach i myckach na głowie. Mężczyźni ślęczą przeważnie nad księgami świętymi w małych synagogach, do których już nie ma wstępu żaden turysta. Pozycja ortodoksów w państwie jest dość silna. Mają wpływ na rząd, a naczelny Rabin Izraela, czyli zwierzchnik religijny wszystkich Żydów ma bardzo wielkie znaczenie i poważanie. Byłam u niego na audiencji. Mieszka w pięknym domu, w najelegantszej dzielnicy Jerozolimy. Byłam ołśniona przepychem jego mieszkania, ogromne salony, dywany, obrazy. Mieszkanie to, które kosztowało wiele tysięcy funtów, urządziło mu państwo. Rabin jest człowiekiem wykształconym i kulturalnym. Z zainteresowaniem pytał o Polskę.

Wpływ pobożnych łatwo zauważyć w codziennym życiu kraju. Na przykład do niedawna trwał zaciekle spór o hodowanie świń. Religia bo-



wiem zabrania Żydom zjadania wieprzowego mięsa, natomiast ludzie niewierzący najspokojniej hodowali, sprzedawali i jedli wieprzowinę. Jednakże uporczywa kampania ortodoksów dała rezultaty i rząd musiał wydać zarządzenie zabraniające hodowania świń w całym kraju. Rzecz jasna, że w tym warunkach handel wieprzowiną musiał „zejść do podziemi” i stać się nielegalnym. Albo sprawa ślubów. W Izraelu nie ma ślubów cywilnych, jedynie ważnym jest ślub dany przez rabina. Każda para niezależnie do swoich przekonań, jeśli chce zawrzeć małżeństwo, musi iść do rabina, który zmówi odpowiednie modlitwy i pobłogosławi ją. O tym jak kraj spędza sobotę także zdecydowała w dużym stopniu religia. Według kalendarza hebrajskiego dniem świętym jest nie

niedziela lecz sobota. W sobotę zamiera życie, nieczynne są sklepy i urzędy. Już w piątek wieczór nieczynne są kina. W piątek wieczór przestają kursować autobusy i taksówki. Podróżować można piechotą lub prywatnym autem. Nie należy jednak pod groźbą obrzucenia kamieniami przejeżdżać autem przez dzielnice pobożnych. Są natomiast takie miejsca gdzie fanatyzm jest mniejszy, np. w Haifie, najliberalniejszym z miast, w sobotę kursują niektóre autobusy, co byłoby nie do pomyślenia w Jerozolimie. Trochę niesamowite wrażenie robi kraj tak zwykle ruchliwy jak Izrael, kiedy w sobotę staje się zupełnie cichy i wymarły. Wpływ ortodoksów bywa zresztą w niektórych wypadkach wyjątkowo drastyczny. W pewnym miasteczku zdarzył się na-

stepujący wypadek. Osiedliła się tam rodzina przybyła z Polski, on był Żydem, ona Polką katoliczką. Po jakimś czasie zmarł kilkuletni synek tych ludzi. Pochowano go na miejscowym cmentarzu. Zjawił się jednak rabin w otoczeniu grupy fanatyków i kazał zmarłego wykopać i przenieść poza obręb cmentarza jako że był on synem katolicki. Fakt ten odbił się echem w prasie izraelskiej, ale podobno decyzji nie zmieniono. Siła wpływu ortodoksów jest dla mnie raczej dziwną sprawą, gdyż o ile zdołałam się zorientować, jest ich stosunkowo niewielu, ogół społeczeństwa jest nastawiony raczej obojętnie a młodzież nawet niechętnie do religii. Młodzieży religijnej i ortodoksyjnej jest bardzo mało. Istnieją w obrębie ortodoksów różne odchylenia i ugrupowania. Najciekawsza jest chyba grupa pobożnych, która od wielu lat konsekwentnie nie uznaje Państwa Izrael, żyjąc na jego terytorium. Uważają oni bowiem, że nikt nie ma prawa zakładać państwa żydowskiego przed przyjściem Mesjasza a Mesjasz jak wiadomo jeszcze się nie zjawił.

MICHALINA LIGOCKA

WYSTAWA FOTOGRAFII PTTK W KRAKOWIE

Z prawdziwą satysfakcją przekazujemy naszym czytelnikom informacje o „wystawie turystycznej” jaką w czasie „Dni Krakowa” zorganizował najlepszy Zarząd Okręgu PTTK. Zwiędzenie jej stało się dla nas miłym rozczarowaniem. Zamłasi bowiem typowej dla wielu „turystycznych” wystaw nieporadności technicznej, amatorskiej i nudnej, znalazłszy większość prac reprezentujących naprawdę wysoki poziom. Szczególnie wyróżniły się fotografie dr. inż. Władysława Strójnego z Wrocławia, mgra Tadeusza Rydla z Rabki, Andrzeja Rudnika z Tarnowa, oraz Otto Linka i Wł. Pawłowalskiego z Krakowa. Organizatorzy wystawy włożyli wiele trudu w jej przygotowanie, estetyczne urządzenie i — naszym zdaniem — bardzo ładnie rozdzielili nagrody. Po zakończeniu wystawy ZIEMIA dokonała zakupu kilkunastuleciu prac wyróżnionych autorów.



nych prac miało za temat turystykę „sensu stricto”. Inne — mogłyby się znaleźć również

dobrze na wystawie fotografii „architektonicznej”, „portretowej”, „etnograficznej”, „prze-

mysłowej”, „przyrodniczej” etc. A większość — po prostu na każdej wystawie dobrej fo-

lografi amatorskiej. O przyznaniu zaś nagród nie decydowało uchwylenie obiektywem

postaci „turystycznych” w skafandrach i z chlebaczkami, lecz — wartości formal-

ne fotografii. Naszym zdaniem nie ma w ogóle „fotografii turystycznej” — lecz są tury-

ści, którzy fotografują, oraz fotograficy, którzy uprawiają turystykę.